

**NAPOLEON NA BIWAKU,**  
W TUILLERIES  
I NA WYSPIE Ś<sup>tej</sup> HELENY.

ANEGDOTY DOTĄD NIEWYDANE  
**◉ RODZINIE I DWORZE CESARSKIM**

przez

EMILA MARCO DE SAINT-HILAIRE

WARSZAWA.

Nakład i druk **S. Orgelbranda** Księgarza i Typografa.  
przy ulicy Miodowej N<sup>o</sup> 496.

1846

## Zaproszenie rzucone w głowę.

Historia młodości wielkich ludzi ma dla wszystkich szczególny powab: ciekawimy widzieć jak wschodzą, rosną i dojrzejają w nich te wzniosłe nasiona, te władze potężne, które później dziwić mają świat cały. Oko umiejące rozróżniać przedmioty w ich zasadach i początkach, nawet w dziecięciu przenika i odgaduje człowieka takim, jakim kiedyś ma zostać.

Jednak pierwsza młodość Napoleona nie przedstawia nic nadzwyczajnego: „Wtenczas

— 2 —

byłem tylko, jak on sam mówi, dzieckiem upartym, ciekawym i kłótliwym! W istocie, jego charakter, odznaczający się żywością, miał cokolwiek tej gwałtowności kłótlivej, zmuszającej go do ulegania pierwszemu poruszeniu, bez obawy ani skutków ani wypadków. Na dowodzenie tego przytoczymy wypadek następujący:

Najulubieńszą zabawą Napoleona w czasie pobytu w szkole wojskowej w Brienne w roku 1779 (miał więc wtedy lat dziesięć) była uprawa małego ogródka, otoczonego palisadami, do którego zwykle udawał się w czasie godzin wolnych od zatrudnień. Pewnego dnia, jeden z jego towarzyszy, ciekawy czem Napoleon trudni się w ogrodzie sam, przeskakuje baryerę i widzi go zatrudnionego ustawianiem w porządku wojskowym gromadę kamieni, których wielkość oznacza stopnie. Na odgłos

— 3 —

sprawiony przez ciekawego towarzysza, Napoleon odwraca się, a widząc, że go odkryto, rozkazuje towarzyszowi oddalić się; ale ten zamiast być mu posłusznym, żartuje z młodego strategika, który nie bardzo usposobiony do przyjmowania żartów, porywa spory kamień i uderza nim żartownisia w czoło, i rani go niebezpiecznie.

W dwadzieścia pięć lat po tem, to jest w chwili największego szczęścia, oznajmują cesarzowi pewnego rana, że ktoś, co się mieni być jego towarzyszem ze szkoły wojskowej w Brienne, prosi o łaskę, żeby mógł być przypuszczonym do jego osoby. Już kilka razy intryganci użyli tego pozoru żeby przybyć do niego: Napoleon rozkazuje służbowemu adjutantowi, żeby się dowiedział o nazwisku tego dawnego współucznia. Wymieniają je; ale to imię nie obudzą w cesarzu żadnego wspomnienia.

— 4 —

— Powróć pan, rzekł do posłańca, i żądaj żeby ten człowiek przytoczył jaki wypadek swojej młodości, który mógłby mię naprowadzić na drogę.

Adjutant wkrótce powraca, mówiąc, że proszący, za całą odpowiedź pokazał bliznę na czole.

— Ah! tak, rzekł Napoleon, teraz sobie przypominam, już wiem kto: to jest *zaproszenie*, które mu rzuciłem w głowę: powiedz niech wnijdzie: chętnie bardzo go zobaczę.

Pozory mniemać każą, że dawny współuczeń był bardzo zadowolonym z przyjęcia swojego towarzysza, który został cesarzem, ponieważ, kiedy wychodził z gabinetu Napoleona, twarz jego błyszczała radością.

\* \* \*

— 5 —

## Przyszły król i przyszły cesarz.

W roku 1785, Napoleon, po świetnym examinie, będąc przypuszczonym do szkoły wojskowej w Paryżu, został mianowanym podporucznikiem pułku artylleryi, wtedy stojącego garnizonem w Walencji. Tam, niektóre promienie przyszłego słońca przeciskać się zaczęły wśród zmroku otaczającego oficera nieznanego. Wiadomo. Że Napoleon był ubogim; ale jakkolwiek bądź ubogi, pomyślał o tem, żeby przyjść w pomoc swojej rodzinie: przyzwał do Francyi brata swego Ludwika, o dziesięć lat młodszego niż on, a który w dwadzieścia jeden lat potem został królem Hollandyi, Oba mieszkali u panny Bou, utrzymującej

— 6 —

kawiarnią i mieszkania do najęcia. Napoleon miał izbę znajdującą się nad salą bilardową, za którą płacił dwanaście franków na miesiąc, a młody Ludwik zajmował podstrysze będące nad tą izbą. Co rano Napoleon, wierny swoim nawykniom szkolnym, budził swego brata stukając kijem o nogę łóżka: potem dawał mu lekcycją matematyki. Pewnego dnia, Ludwik, który z trudnością ulegał tym zwyczajom, zeszedł leniwiej i powolniej niż zwykle.

— Cóż ci to jest dzisiaj? zapytał go brat gniewliwie. Zdaje mi się, żeś dziś leniwszy niż zwykle?

— To prawda, odpowiedział zagadniony; ale bom miał tak piękny sen.

— I cóż ci się śniło ?

— Żem był królem!

— A czemżebym ja był?... Cesarzem, bez wątpienia.

— 7 —

I Napoleon, wzruszywszy ramionami, mówił dalej:

— No, nie idzie tu o królestwo; pokaz mi mnożenie i dzielenie, którem ci zadał wczoraj wieczór.

I ta dzienna lekcycja była, jak za zwyczaj, wzięta przez przyszłego króla, i dana przez przyszłego cesarza.

\* \* \*

## Ojcobójstwo.

Napoleon, disgracyjonowany po oblężeniu Tulonu, stracił stopień jenerała artylleryi. Skazany na bezczynność długą, jeżeli nie na dożywotnią, powrócił do Paryża: sprzedał konie, wojenny ekwipaż, zebrał cokolwiek pieniędzy, które mógł posiadać, i postanowił usunąć się i żyć na wsi. Wtedy to przypomniał sobie o Walencji, w której przepędził trzy lata tak nieznanymi a tak szczęśliwymi, w towarzystwie brata swego, Józefa Bonaparte, który właśnie wracał do Marsylii, żeby tam zaślubić córkę bogatego kupca, nazwiskiem Clary, który również był teściem Bernadotte'go, później króla Szwecyi; z nim więc pojechał, przybyli do Montélímort, i tam się zatrzymali. Napoleon uznał klimat i położenie stosownymi, i zapytał, czyliby w okolicy nie można kupić

jakiej posiadłości. Odsyłają go do p. Grassot, trudniącego się interesami, z który mu daje się, żeby zwiedzić małą wioskę, nazywającą się Beausserzet, które to nazwisko, w narzeczu tamtej okolicy, znaczy. *Piękny pobyt*, i wskazuje przyjemne położenie. W istocie,

— 9 —

Napoleon i Józef zwiedzają tę posiadłość, którą pod wszystkimi względami znajdują stosowną dla swoich zamiarów. Bojąc się jednak wysokiej ceny, Napoleon zapytuje o nią. Odpowiadają mu:

— Dwadzieścia tysięcy franków: to na pół darmo,

Napoleon i Józef wracają do Montélimort i naradzają się. Ich mały majątek połączony, dozwala im poświęcić tę sumę na zakupienie przyszłej pustelni. Umawiają się na dzień następny, żeby zakończyć interes cały: na miejscu chcą zawierać układy. P. Grassot towarzyszy im znowu: zwiedzają posiadłość szczegółowiej. Nakoniec Napoleon zdziwiony, że ustępują za tak małą cenę tak piękny dom wiejski, zapytuje p. Grassot, czy nie ma czasem jakiej tajemnej przyczyny, że tak niżono cenę?

— 10 —

— Tak, odpowiada p. Grassot; ale i pana obchodzić nie powinno.

— Chcę ją wiedzieć, odpowiedział Napoleon.

— Popelniono morderstwo w tym domu.

— I kto ?

— Syn na ojcu.

— Ojcobójstwo! zawołał Napoleon blednąc; jedźmy, mój bracie, jedźmy.

I, porwijąc Józefa za rękę, wybiegł z domu; wsiedli do kabrioletu i wrócili oba do Montélimort. Napoleon żąda koni pocztowych i natychmiast wraca do Paryża. Józef udał się w dalszą drogę ku Marsylii.

\* \* \*

Najady.

Napoleon, zostawszy pierwszym konsulem, chciał ozdobić plac Ludwika XV

— 11 —

fontanną; zażądał projektu od swojego architekta. Przedstawiono mu rysunek, ten monument składały cztery najady wyrzucające wodę z piersi. Myśl ta wydała się nieprzyzwoitą Napoleonowi, któryż żywością powiedział architektowi:

— Odrzuć pan te mamki: najady były dziewicami.

\* \* \*

Skrupulatny oficer.

Kiedy Napoleon uważał poruszenia nieprzyjaciół pod Marengo i wydawał rozkazy na piśmie, granat uderzył oficera piszącego i powalił go na ziemię. Napoleon zażądał innego sekretarza. Ten przybywa. W chwili kiedy Napoleon ma dyktować dalej swoje depeşe, raniony powstaje.

— 12 —

— Generale, mówi głosem gasnącym, stanęliśmy na tem...

I powtórzył ostatnie wyrazy podyktowane przez Napoleona.

\* \* \*

Przyczyna odmowy.

W czasie traktatu, biskup gorliwie polecał pierwszemu konsulowi księdza de Courral, w bliskości Claurency.

— Generale, mówił biskup, jest to człowiek przykładnej pobożności i godny pełnienia swojej świętej służby w stolicy. Surowość jego zasad jest tak wielka, że niedawno nie chciał użyć siodła na którym jeździła pewna dama, aż je siodlarz pokrył zupełnie nową skórą.

— 13 —

— A więc taka jest jego pobożność..., odpowiedział Napoleon, nakłoń więc go, żeby został na wsi: zepsułby się w Paryżu.

\* \* \*

Sekretarz tajny.

Przykre wieści rozeszły się o pewnej sprawie, zupełnie obcej czynnościom prywatnego sekretarza Napoleona, naówczas pierwszego konsula. Utrzymywano, że ten sekretarz był bardzo skompromitowany: chodziło o spekulację handlową do której Bourienne wmieszał się. Upadek jednego domu handlowego, wykazał tajemnicę tego spółnictwa, dotychczas nieznanego. Napoleon bardzo się tem rozgniewał,

— 14 —

i w kilka dni potem sekretarz poufały powtórnie opuścił gabinet pierwszego konsula, który tak obruszył się przeciw niemu, że nawet zabronił mówić na jego korzyść. Jednak wstawienie się Fouché'go i Talleyranda były silniejsze nad Napoleonem, aniżeli działania jego rodziny, która usiłowała zmienić postanowienie pierwszego konsula; i zapewne więcej aniżeli to wszystko reszta przychyłność,

dla dawnego towarzysza z Brienne spowodowała, że mu dano niektóre posłannictwa do Prus i Saxonii; ale i tam Bourienne został zadenucyowany. Przesłany z rozkazu do Paryża, musiał się udać do zatrudnień prywatnych, w zupełnej pograżony niełasce.

W roku 1804, kiedy Napoleon stanął przy sterze państwa i korzystał z łask, jakimi fortuna obsypywać go nie przestawała

— 15 —

od lat dziesięciu, ten nowy porządek rzeczy wydał się przyjaznym Bourrienne'owi, który nigdy nie uważał się za pobitego zupełnie. Starał się, nie tylko powrócić do łask dawnego pana, ale odzyskać miejsce zajmowane przed dziesięciu laty.

Przyznać wypada, że w tej okoliczności cesarz miał do swego sekretarza taką urażę, którą czas mógł zwiększyć tylko; dla tego też wszystkie użyte sposoby, na nic się nie zdały: Napoleon tym razem obstawał przy swoim, a nawet godna Józefina musiała bębnić do odwrotu usłyszawszy te surowe słowa:

— Pani zajmij się swojemi gratami, i daj pokój Bourrienne'owi, którego nawet imię zakazałem wymawiać w mojej obecności; pani wiesz o tem dobrze.

Zwątpiwszy o sprawie i chwytając się ostatniego promyka zbawienia, Bourrienne

— 16 —

powziął myśl udać się do pewnego Leclerc, lokaja, dla którego nowy monarcha miał pewien rodzaj słabości. Ten Leclerc był to oryginał, ale przywiązanie do swego pana posuwał aż do szaleństwa: i wiedział doskonale o słabości jaką Napoleon miał dla niego. Umiejąc z niej korzystać kiedy tego była potrzeba, albo kiedy chciał, nigdy jej nie nadużył, był bowiem obdarzony wrodzonym dowcipem i posiadał wiele taktu. Do tego to służącego, który co rano przynosił cesarzowi pół filiżanki kawy i czekolady, którą pił wstając, uciekł się Bourrienne. Poszedł do niego do Tuilleries.

— Wy tylko, drogi panie Leclerc, rzekł do niego, mówicie dosyć poufale z cesarzem, żebyście mogli wyjednać mi posłuchanie, które jest mi niezbędnem, bo jeżeli zechce mię widzieć, posłuchać przez chwilę, usprawiedliwię się zupełnie z

— 17 —

niegodziwych doniesień doszłych do jego uszu o mnie, i wtedy wam to winien będę powrót do jego łaski.

— Pilnie strzedz się będę wymówić imię pana przed cesarzem, odpowiada Leclerc: nie byłem świadkiem jakim sposobem przyjął Józefa, Ludwika, panią Murat, a nawet samą cesarzową! Wypędziłby mnie bezpowrotnie. Czy wiesz pan, że zamknął im usta jednym słowem, którego nie ośmielę się powtórzyć.

— To wszystko jedno, mój drogi Leclerc, spróbuj postarać się o osobne posłuchanie; mam przecucie, że twoja szczerza mowa możniejszą będzie aniżeli wstawianie się tych, którzy usiłowali wrócić mi łasce cesarza. Źle wzięli się do tego; ale wy, to wcale co innego: możecie liczyć na dozoną wdzięczność z mojej strony: wszak mię znacie!

— 18 —

Leclerc opierał się jeszcze; ale powiedzieć trzeba, że będąc wdzięcznym Bourrienne'owi za kilka przysług, a w głębi duszy nie będąc ani intrygantem, ani niewdzięcznikiem; przyrzekł, że będzie starał się zadosyć uczynić naleganiom dawnego sekretarza; potem po kilku chwilach namysłu dodał:

— Przyjdź pan jutro rano, kiedy będę na służbie. Jeżeli cesarz jest w dobrym humorze, postaram się wprowadzić was; jeżeli zaś jest w złem usposobieniu, za nic nie zaręczam.

Nazajutrz Bourrienne stawił się na słowie; czekał Leclerc'a w małym salonie, który poprzedzał sypialnią Napoleona. Tam znalazł jednego tylko służącego, dobrze mu znanego. O szóstej rano Leclerc przybył; odgłos dzwonka przywołał go do jego pana, który według zwyczaju, wypytywał

— 19 —

go o tysiąc rzeczy bardzo mało znaczących. Napoleonowi miłym było gadulstwo wiernego sługi, a w tym dniu był w humorze rozmownym; a to usposobienie wydało się korzystnym lokajowi dla jego protegowanego, i z którego korzystał zręcznie okazując, wbrew zwyczajowi, chęć do milczenia. Cesarz zwrócił na to uwagę.

— Jesteś dziś bardzo małomówny, rzekł do niego. Możeś słaby?

— Nie, najjaśniejszy panie; ale jest w salonie ktoś, co mię czeka.

— Do diabła! tak rano! Któż to jest?

— O! najjaśniejszy panie, odpowiada Leclerc z twarzą obojętną, jest to osoba, której W. C. Mość nie chce widzieć, i która bardzo mię nudziła, żeby jej wyjednać osobne u W. C. Mości posłuchanie; ale odmówiłem.

— I dobrześ pan uczynił! odrzekł cesarz

— 20 —

surowym tonem. Po co się pan w to mieszasz, dla czego ośmielasz się wprowadzać do mnie kogoś, którego widzieć nie chcę?

— Najjaśniejszy panie, właśnie to samo powiedziałem mu; ale na uczynioną mu przeze mnie uwagę, że nigdy nie poważę się...

— Mówić o tem ze mną, wszak prawda? przerwał z żywością Napoleon; odpowiedziałeś, że się tego podejmiesz.... Poznaję cię po tem! Któż jest ta osoba?

— Nie śmiem jej teraz wymienić przed W. C. Mością.

— A ja chcę wiedzieć; mów natychmiast.

— A więc... najjaśniejszy panie, to jest... Bourrienne.

Na te słowa cesarz jak szalony zerwał się z krzesła; i odpychając stojący przed sobą stolik, który zaledwie się nie przewrócił:

— 21 —

— To ten *oszust!* zawołał; nie chcę go widzieć!... A ty panie, jesteś lotr! wyjdź... Nie potrzebuję twoich usług w tej chwili.

Napoleon, wymawiając te wyrazy, drżał z gniewu. Przez ten czas, Bourrienne zostawał w największej niepewności; Leclerc zaś wychodząc z sypialni odurzony ostremi wyrazami, jakie usłyszał, nie wiedział jakim sposobem oznajmić swojemu protegowanemu niepomyślny skutek swoich usiowań; ten ostatni nie dozwolił mu czasu do wyjaśnień, i przystąpiwszy do niego z miną radosną:

— I cóż! drogi Leclerc, J. C. Mość zezwala przyjąć mię?

— Tak... tak... odpowiada Leclerc tonem na pół żartobliwym, na pół gniewliwym; w tej chwili mówiłem o panu; cesarz dziwnie jest przeciwko panu usposobiony...

— 22 —

Wejdz pan, jezeli masz ochote, sam bedziesz mogl przekonac sie o tem.

— Bylem tego pewny! zawolal Bourrienne; i smialo wszedl do sypialni Napoleona.

Napoleon, widzac go, oslupial. Z zadziwienia i oburzenia oniemiał prawie. Bourrienne, tlumaczac sobie na swoje korzyść rozmaite uczucia malujace sie na twarzy cesarza, rzuca sie do jego nog, blaga o przebaczenie, przyzywa wspomnienia pierwszej mlodości... A cesarz, zarzucajac go wyrzutami, slucha, sciska go za rece, wzruszony podnosi go, i nakoniec mowi do niego glosem wzruszonym.

— Dosyc, Bourrienne, dosyc! Tak, przebaczam ci, zapominam o wszystkim; ale jedynie przez wzglad na twoje zone, na twoje rodzine, ktora szanuje, ktora kocham, chce coskolwiek uczynic dla ciebie;

— 23 —

nie moge jednak zatrzymac cię przy sobie; odtad jest to niepodobieństwem. Zajme sie umieszczeniem ciebie: ale uprzedzam cię (i Napoleon ze znaczeniem wymowil te wyrazy) postepuj tak, zebym tylko pochlebne doniesienia slyszal o tobie, bo jezeli nie... Teraz, Bourrienne, zostaw mię: nie chce, zeby nas zastano razem. Ducroc zawiadomi cię o mojej woli; wkrótce otrzymasz rozkazy od Talleyranda. No, badz zdrow, odejdz.

W pietnascie dni potem, byly sekretarz tajny zostal mianowany konsulem w Hamburgu, z tytulom ministra pelnomocnego. Sadzac po sposobie, jakim Napoleon obszedl sie z nim w tej okolicznosci, widocznym jest: ze niezupełnie zapomniat o swoim szkolnym towarzyszu, powierniku, o czlowieku niezmordowanym, posiadajacym talent obejmowania jego myśli za

— 24 —

jednym slowem, chociaz myśli Napoleona z niepojeta po sobie nastepowaly szybkością. Ale wtenczas nawet, kiedy Bourrienne posiadal cale zaufanie pierwszego konsula, ten ostatni kilka razy oswiadczył chęć przyjecia jakiego mlodzięca pracowitego, malomownego i zdolnego pomagac jego sekretarzowi, ktorego w istocie obciazal pracą; jednak nie chcial, aby ten pomocnik sekretarza byl zarekomendowanym przez Bourrienne'a. Napoleon mowil o tem pewnego dnia swemu bratu Jozefowi:

— Nie moglybys mi dac kogos, coby pracowal w moim gabinecie? Nie chce ani próżniaka, ani gaduly.

— Na honor, nie znam nikogo. Jednak mam w Mortefontaine mlodzięca, ktorego uzywam do utrzymywania ksiazek w mojej biblijotece; kilka razy tylko widzialem go, ale zdawal mi sie byc pojetnym. Jest bardzo

— 25 —

lagodny, bardzo skromny; wreszcie jego charakter jest bardzo piekny.

— Mlodzienciec, mowisz?... Jak sie nazywa?

— Przyznam ci, zem wiedzial jego nazwisko, poniewaz nie bardzo dawno pisal do mnie; alem je zapomniat zupełnie.

— Nic nie szkodzi, posle po niego natychmiast; chce go widziec.

Napoleon powiedzial kilka wyrazow pierwszemu adjutantowi. Jeden z oficerow otrzymuje rozkaz udania sie do Mortefontaine i przywiezienia stamtad mlodzięca, ktorego nazwiska nie wymieniaja mu, ale ktorego mu wskazuja, jako trudniacego sie dozorem biblioteki. Oficer, myslac, ze tu idzie o aresztowanie, bierze z soba eskortę, wyjezdza, przybywa do Mortefontaine, i porywa bibliotekarza, nie dajac mu czasu odetchnac, nie dajac mu najmniejszego

— 26 —

wyjasnienia i strzeze go jak wienia stanu. Za powrotem do Paryza, oficer zdaje sprawe z swojego poslannictwa; adjutant mu odpowia:

— Zaprowadz pan tego mlodzięca do gabinetu p. Bourrienne.

Ten ostatni uprzedzony o przybyciu nowego sekretarza, mieści go natychmiast, nie zadajac zadnego pytania, i sadza go do roboty. Wieczorem, nowo przybyly, ktory przez caly dzien nic przestal pracy, zaledwie nie upadl z utrudzenia. Bourrienne spostrzeglszy zmianę jego twarzy, pyta go, czy czasem nie jest slaby?

— Nie, panie; ale jestem nadzwyczajnie glodny.

— Jak to?

— Tak, panie, nic jadlem sniadania kiedy mnie tu przywieziono, i na obiedzie takze nie byłem.

— 27 —

— I dla czego pan nie powiedziales ?

— Nie smialem.

Bourrienne kazal natychmiast podac swojemu wspolpracownikowi wszystko czego potrzebawal, i zdal sprawe pierwszemu konsulowi z tego co zaszlo. Ta skromnosc, ta prostota bardzo podobaly sie Napoleonowi. Czasami sklinal do gadanki swojego protegowanego, a spostrzeglszy, ze mial przymioty, ktore tylko rozwinac wypada, coraz bardziej przywiazyl sie do niego; nakoniec kiedy byl zmuszony podziekowac Bourrienne'owi, mlodzięca wzial za jego nastepce.

Ten mlodzienciec byl to p. de Menneval.

\* \* \*

— 28 —

Różnica.

Jozefina, uderzona smiesznym zbytkiem jakiejś kobiety, ktora byla przyjeta na dworze konsula, rzekla do meza:

— Czy pojmujesz to, Bonaparte, ta pani \*\*\* nadaje sobie tony, dla tego ze ma strzelca za powozem!

— To nie strzelec odpowiedzial Bonaparte, to zlodzięc leśny.

\* \* \*

Czynić więcej aniżeli żądają.

Być może, że to spisek George'a Cadoudal przeciw Napoleonowi (w roku 1804) zdecydował utworzenie cesarstwa. George,

przepędziwszy na modlitwie całą noc. Poprzedzając jego egzekucją, rozmawiał rano z radcą stanu Réalem, natenczas dyrygującego departamentem policji, i rzekł do niego bardzo spokojnie:

— Mimo woli lepiej postępuję, aniżeli się spodziewałem: mniemałem że Francji dam króla, a ja daję jej cesarza!

\* \* \*

#### Rocznica Arcole.

Dnia 17 listopada tegoż roku, w czasie pięknego jesiennego poranku, Napoleon opuścił park Saint-Cloud żeby pójść na polowanie do marszałka Masseny, gdy w tem wieśniaczka, której mąż został skazany dożywotnie na galery za kradzież

zbrojną ręką popelnioną na publicznej drodze, rzuciła się przed konie wołając:

— Łaski! łaski!

Ta kobieta już kilka razy spotykana była na drodze cesarza, który uderzony energią jej poruszeń i wyrazów, kazał sobie zdać sprawę z postępów jej męża; ale osądził że łaska była niepodobną. Jednak gwałtowność boleści wieśniaczki, tarzającej się z rozrzuconymi włosami między końmi, jej jęki, piękność nawet, wzruszyły Napoleona, który rzekł do Berthier, przy nim siedzącego: że człowiek, który umiał wzbudzić takie zajęcie w kobiecie, posiadał zapewne przymioty, odróżniające go od innych zbrodniarzy.

— Ale, dodał, niebezpieczeństwo podobnego pobłażania, sąd zgorszony Nie mogę.

Ta stanowcza odmowa miała być ostatni

raz wymówioną przez Napoleona, gdy w tem nagle uderzany jakimś wspomnieniem i zwracając się do swojego łowczego, który, w czasie tej sceny nie wymówił ani słowa:

— Ale, Berthier, rzekł, wszak dziś rocznica bitwy pod Arcole?

— Najjaśniejszy panie... zdaje mi się, że... tak.

— A ja tego jestem pewny.

Ten nawał uczuć i wspomnień uniosły go; dodał więc:

— Łaska, udzielona na pamiątkę wielkiego wypadku, nie może być niebezpieczną, ona przypominać go będzie Francji... Udzielam łaskę żadaną.

\* \* \*

#### Kule i nogi drewniane.

W kilka dni potem Napoleon i Józefina będąc w Moguncyi, powzięli szczególną myśl, żeby śniadać na małej wyspie Renu, na której, jak im powiadano, znajdował się piękny dom elektora nazywany *Faworyta*. Przybywają; ale tego domu nie ma ani śladu; został on zburzony przed dwoma laty. Mimo to, rozkazy zostały wydane: Ich Cesarska Mość jedli jak mogli na murawie. Powracając, przechodzili koło jednej chaty, przede drzwiami której siedziała uboga kobieta. Napoleon daje znak żeby się przybliżyła, i zadaje jej kilka zapytań, na które tamta odpowiada otwarcie, nieznając ani cesarza, ani cesarzowej.

— Dobra kobieto, mówi Napoleon, dla

czego nie każecie poprawić dachu waszej chaty!

— Niestety! łaskawy panie, jesteśmy za bardzo biedni, tem bardziej że mąż mój nie zawsze ma robotę, a mamy troje dzieci wychowywać.

— Czem się trudni wasz mąż ?

— Jest tokarzem, robi *kule i nogi drewniane* dla rannych; ale na nieszczęście wojny nie ma, to też i robota ustała.

Na te wyrazy *kule i nogi drewniane*; twarz cesarza zasepiła się; rzucił znaczące spojrzenie na Józefinę, która, trzymając rękę męża, z lekka ją przycisnęła, dając tem poznać, że zrozumiała jego myśl: dla tego też spuściła oczy nic nie wymówiwszy.

— O! o! robić tylko kule i nogi drewniane! mówił dalej Napoleon tonem

obojętnym, w istocie, to biedny stan: już ich nie potrzebują.

— Zapewne, dla tego też takeśmy zbiednieli.

— Ileby wam było potrzeba, żebyście zaprzestali tego rzemiosła, zapytała Józefina z prawdziwie chrześcijańską dobrocią.

— Niestety! piękna pani, potrzebaby mi było bardzo wiele.

— Ile, na przykład? zapytał Napoleon.

— Trzebaby nam było najmniej.., najmniej....

I staruszka, wzniosłszy oczy w górę liczyć zaczęła na palcach; nakoniec głęboko westchnąwszy powiedziała:

— Potrzebaby nam było koniecznie czternaście luidorów; ale my ich nigdy nie zarobimy, robota idzie teraz tak źle kiedy nie ma wojny i nie trzeba *ku...*

— Zawsze potrzeba krzesel! zawołał

Napoleon nagle jej przerywając mowę, żeby znów nie wymówiła wyrazów *kule i nogi drewniane*, które zdawały się zasmucać Józefinę. Powiedzcie waszemu mężowi, dodał, niech robi krzesła; zawsze ich będzie potrzeba.

Potem z cicha przemówiwszy do ucha prefekta pałacu, który mu towarzyszył, wziął z jego rąk paczkę pięciuset frankową, rozłamał ją, sam licząc sztuki dwudziesto-frankowe, jedne po drugich rzucał w fartuch staruszki, która własnym oczom wierzyć nie chciała. Józefina zaledwie przekonać ją zdołała, że te pieniądze nie były fałszywe i że wszystko było dla niej.

\* \* \*

— 36 —

#### Sposób zamknięcia salonu

Fouché opowiadał sposób jakiego użył żeby zamknąć salon na przedmieściu Saint- Germain. gdzie zbytnie zajmowano się polityką.

Dom ten kilka już razy był opisywany cesarzowi przez jego przyboczną policją. Jednego rana, po odczytaniu sprawozdania, powiedział do ministra policji, wchodzącego do gabinetu:

— Ale, p. Fouché za wiele gadają o pani de \*\*\*, wiem o tem dokładnie!

— Najjaśniejszy panie! która z tych dam? zapytał minister; jest ich dwie: księżna i hrabina.

— Mówię o tej która mieszka przy ulicy Saint-Dominique. Pan wiesz lepiej

— 31 —

o tem anizeli ja; chodzisz bowiem tam co tydzień i przyjmujesz u siebie tę damę.

— To prawda, najjaśniejszy panie, odpowiedział minister z zwykłą sobie pewnością: mowa jest o hrabinie, i W. C. Mość ma słuszną.

Napoleon usłyszawszy te wyrazy, z zadziwieniem spojrzął na ministra:

— Do pioruna! czy mam słuszną, mówił, bez wątpienia; ale bardzo źle żeś pan nie był uwiadomionym o tem co się dzieje u pani de \*\*. Niech mówi o czepkach, to najlepiej uczyni; nie chcę żeby głośno kontrolowała mój rząd; a pan, raz jeszcze powtarzam, nie powinienes był tak długo pobłażać podobnemu zgorzeniu.

— Najjaśniejszy panie, mogęż przeszkodzić pięknej kobiecie mówić...

— Mówić o czepkach, nie! Przerwał cesarz z żywością; ale jeżeli raz jeszcze

— 38 —

usłyszę podobne słowa, jakie już doszły do moich uszu, uprzedzam, że pan za nie odpowiadać będziesz.

W takim razie, niedbale odrzekł Fouché, jeden tylko sposób widzę zamknięcia ust hrabini de \*\*: zamknąć jej salon.

— Sposoby do mnie nie należą. Mówię o czynie, jest ważny, przyznasz pan. Załatwij to jak ci się podoba, to do ciebie należy, nie do mnie, nie mówmy już o tem.

W kilka dni potem, Fouché spotyka w ogrodzie Tuilleries margrabinę de \*\* krewną hrabiny. Po zwykłych grzecznościach.

— Pani margrabino, mówi do niej, mąż pani zwykle bywa na wieczorach u pani de \*\*, krewnej i przyjaciółki, jak mi się zdaje?

— Tak, panie, zwykle..

— 39 —

— Zwróć że mu pani uwagę, żeby był baczniejszym na to co mówi.

— Jak to! czyby?...

— Nic pani nie mówię, proszę uważać, że nic nie mówię. Proszę tylko panią, ażebyś, w sprawie wspólnej zechciała go przestrzedz żeby był baczniejszym na to co mówi. Najlepiej by uczynił, gdyby tam nie uczęszczał.

— A więc ci ludzie należą do pana?

— Nie mówię tego. Racz pani uważać, że to nie minister do niej mówi, ale przyjaciel; i gdyby się pani zdarzyło, mimowolnie powtórzyć to, com w tej chwili miał honor pani powiedzieć w zaufaniu, dowiedziałbym się o tem i widziałbym się w konieczności wyjawienia wszystkich objaśnień, któreby niezawodnie uczyniono w tym przedmiocie, a zatem zalecam pani milczenie.

— 40 —

— Przyrzekam panu, O! szkaradni ludzie ci \*\*! Nigdy ani ja, ani mój mąż nogi tam nie postawimy.

— Może i dobrze państwo uczynicie. Proszę wierzyć w moje najgłębsze uszanowanie.

Fouché najarystokratyczniej uklonił się tej damie.

Minister policji najstosowniej powierzył swojej tajemnicę. Tego samego jeszcze wieczora, bardzo tajemniczo był powierzony dwunastu szczerym przyjaciółom, którzy także przyrzekli milczenie, bo w dwadzieścia cztery godzin cały Paryż wiedział o niej. Nastąpił dzień przyjmowania u pani de \*\*, a jej świetny salon był zupełnie pusty.

W następnym miesiącu, w Teatrze Francuzkim, Fouché wychodząc z parterowej

— 41 —

łóży, spotkał hrabinę de \*\*, która bez ceremonii napada na niego i mówi:

— Pan rozniosłeś wieść jakobym była opłacaną przez policją, jest to niegodziwość!

— Pani, odpowiedział minister, podnosząc głos, żeby go lepiej słyszeli otaczający ich ludzie, nigdy nie powiedział, żebyś pani była opłacana przez policją, i, gdyby tak było, zbyt dobrze znam moje obowiązki, żebym to miał rozgłaszać.

Po tak dokładnem wyjaśnieniu, salon hrabiny de \*\* był zupełnie zgubiony na dobrej sławie. Hrabina zamknęła swój dom i wyjechała na prowincję. Tego właśnie chciał Fouché.

— I cóż, najjaśniejszy panie? zapytał cesarza po kilku miesiącach, czy W. C. Mość otrzymała jakie doniesienia tyczące

— 42 —

się towarzystwa hrabiny de \*\*\*, z ulicy Saint-Dominique?

- Mówiono mi, że już bardzo dawno nie przyjmuje
- To prawda, najjaśniejszy panie, opuściła nawet Paryż.
- Tak, zdaje mi się, słyszałem już o tem.

A po chwili milczenia:

- Jakim sposobem postąpiłeś pan sobie, żeś otrzymał tak piękny skutek? Chciałbym wiedzieć.
- Wybacz, najjaśniejszy panie, ale to jest moja tajemnica. Gdybym to powiedział W. C. Mości, mogłaby ona obejść się bez ministra policji, a na honor...
- Słusznie, odpowiedział cesarz z uśmiechem, nie powinienem z nim emulować: oba wielebyśmy na tem stracili.

\* \* \*

— 43 —

#### Bukiet weselny.

Jednem z urojeń Napoleona było obmyślać małżeństwa i przywozić je do skutku z największą szybkością. Na nieszczęście, nie wszystkie się tak udały, jak on sobie życzył, chociaż każde bardzo hojnie uposażał. Podarunek weselny, który zwykle ofiarował nowozamężnej, był dawany z taką delikatnością i dobrym gustem, jakie znamionowały wszystkie prywatne jego postęпки. W dniu poprzedzającym ślub jego adjutanta, tego którego może najbardziej lubił, generała Rapp, oficer ten był na służbie przy jego osobie. Napoleon, udając się na spoczynek, rzekł do niego żartobliwie.

- Teraz, spodziewam się, nie zapomnisz, że jutro twoje wesele?

— 44 —

- O! nie, najjaśniejszy panie!

— Daję ci urlop na dwadzieścia cztery godzin, bo trzeba, żeby każdy załatwił swoje interesy; ale po jutrze rano czekam, żebyś objął służbę przy mnie... Potem przedstawisz mi swoją żonę. Ale, tylko com nie zapomniał; oto, dasz jej ten bukiet: jest to bukiet weselny. Powiesz twojej przyszłej, że to jest od najlepszego z twoich przyjaciół; dodasz, że nie wybrał naturalnych kwiatów, dla tego jedynie, żeby się te dłużej zachowały. A potem, nim pójdziesz spać, dowiesz się czy mieszkania moich starych królików są dobrze ogrzane, czy mają wodę; dziś mróz, zarząd ogrzewania źle wykonywa swoje obowiązki, każę zmyć głowę przedsiębiorcy. Dobranoc.

- Nazajutrz, uwielbiając sztuczne kwiaty, których świeżość i delikatność mogła mierzyć

— 45 —

się z naturalnymi, młoda nowozamężna rozwinęła otaczający je papier, i spostrzegła, że ten bukiet był związany łańcuchem złożonym z nieskończonej liczby prawdziwych pereł, rozdzielanych gdzie niegdzie wielkimi brylantami otoczonymi turkusami i rubinami: był to klejnot jaki trudno sobie wyobrazić, ale Rapp mniej był zadowolony z tego kosztownego подарunku, aniżeli ze słów, które Napoleon wyrzekł do niego: *Powiedz twojej żonie, że to od najlepszego z twoich przyjaciół.* Dla generała to był prawdziwy podarek weselny.

\* \* \*

— 46 —

#### Fatalność.

Cesarz powiedział pewnego dnia, mówiąc o człowieku, który przez całe życie był bardzo nieszczęśliwy.

- Zdaje mi się, że gdyby upadł w znak, to obawiałbym się żeby sobie nie rozbił nosa.

\* \* \*

#### Kawalerya morska.

Napoleon, zaledwo stanąwszy obozem pod Boulogne, w roku 1805, otrzymał ogromną liczbę projektów, a wszystkie dążyły do prędkiego dostania się do Anglii. W jednym wskazywano mu sposób odbicia

— 47 —

kul działowych, za pomocą materaców wełnianych albo pakułowych, któremi należałoby osłonić okręty; w innym była mowa o wielkich dzwonach szklanych, pod którymi jeden lub więcej żołnierzy mogło przebyć cieśninę. Projektujący zalegali drogę wiodącą do głównej kwatery, do której codzień trudniej było się dostać; gdyż Napoleon nie udzielał osobnego posłuchania, chyba mu je dostatecznie usprawiedliwiano. Między temi podawaczami pomysłów, wymienić należy p. Quatremère-Disjoulval, brata p. Quatremère de Quincy, którego imię rozeszło się po całej Europie, jako sekretarza akademii nauk i sztuk pięknych. P. Disjoulval znalazł nakoniec sposób przeprowadzenia części armii do Anglii, bez obawy nawałnic i napadów. Już autor tego wielkiego pomysłu grzecznie został odprowadzony przez większą

— 48 —

część dowódców armii; ale nie poddał się jeszcze. Skoro tylko Napoleon przybył do Boulogne, pomyślał o Davoust'cie, który go nigdy nie znał i nie widział. Udał się tedy do Ostendy do marszałka, i podał mu swoje pismo, w chwili kiedy tamten kończył przegląd pięknego oddziału dowodzonego przez generała Friant. Zaczynając od komplementu, którym już uraczył wszystkich dowódców armij.

— Panie marszałku, rzekł, rzeczy wielkie, olbrzymie, mogą być zrozumianemi tylko przez ludzi takich, jak pan: dla tego też przybyłem tu do pana, prędzej niż do kogo innego.

Nazajutrz Davoust pytał swojego sztabu:

- Kto jest ten człowiek co mi oddał pismo wczoraj w czasie przeglądu?

— Panie marszałku, to jest p. Quatremère- Disjouval, uczony, odpowiedział adjutant.

— W tem piśmie są bardzo dobre rzeczy. Chociaż nie znam osobiście autora, skoro przyjdzie do mego baraku, oddajcie mu ten rękopism z listem polecającym do cesarza, który, jestem pewny, spróbuje tego pomysłu.

W kilka dni potem, Napoleon, powracając po południu do cesarskiego baraku, znajduje przy drzwiach p. Quatremère, który czekał na niego, żeby mu oddać list marszałka. Cesarz rzuca nań okiem, i mówi do proszącego ze zwykłą sobie uprzejmością:

— Ależ panie, sądząc po tym liście masz mi pan jeszcze coś oddać.

— To prawda najjaśniejszy panie: rzeczy wielkie, *olbrzymie, mogą być*

*zrozumianemi tylko przez takich ludzi jak W. C. Mości; dla tego też udoję się do ciebie, najjaśniejszy panie, chętniej niż do kogo innego.*

Napoleon lekko skłonił głowę. P. Disjouval, z głębokim ukłonem, oddał mu, gruby zwój papieru, złożony po brzegach, mówiąc:

— Najjaśniejszy panie, sposób, który podaję, jest jedynym, który może bez narażenia na niebezpieczeństwo, przewieść dzielną W. C. Mości armią do Anglii. Postępowanie nie jest zwyczajnem, ale ekonomicznem. Błagam W. C. Mości, żeby uważnie ten pomysł przeczytać raczyła: nada on ogromny wpływ naukom przyrodzonym.

Napoleon rzucił na p. Disjouval niedowierzające spojrzenie; podano mu już tyle pomysłów?... Ale wkrótce twarz jego przybrała

zwykłą spokojność, i odsunawszy się na dwa kroki.

— Dobrze, panie, odpowiedział; przeczytam go z uwagą.

I ukłonił się ręką.

Wieczorem, przeczytawszy ogromną korespondencją, przybyłą z Paryża, i podpisawszy dzienną pracę, cesarz, stając przed kominem swojego gabinetu, przeczytał co następuje: »Nadeszła nareszcie chwila podbicia zdradnego żywiołu wody, i używać go na sławę narodu francuskiego! Jeżeli wół pracuje dla człowieka, jeżeli pies poluje dla niego, jeżeli koń nosi go pośród walk, jeżeli człowiek, jednym słowem umiał uczynić wszystkie zwierzęta ziemi niewolniczo poddanemi jego potędze i woli, dla czegożby nie miał spróbować podbicia pod swoją władzę pewnych gatunków ryb, a mianowicie cieląt morskich?»

— Oh! oh! zawołał cesarz, przybliżając świece, umieszczone na kominku, to coś nowego! Tam do kata! dokąd on zmierza z swojemi cielętami morskiemi?

I porządnie, niuchnąwszy tabaki, czytał dalej: »Ten wieloryb, nie jest czem innem jak delfinem, o którym mówią starożytni, i t. d.

Nie przytaczając więcej tekstu tego pisma, który miał ze trzydzieści stronnic pisma ścisłego i drobnego, powiemy, że autor odwoływał się do świadectwa historii naturalnej wszystkich czasów i wszystkich narodów, żeby dowieść pojętności zwierząt; kończył, że ryba nie jest głupsza od wielbłąda, konia, słonia, a nawet kanarka. »Ponieważ one łatwo się oswajają, dla czegożby nie można oswoić i ryb?« Potem przytaczał medale ateńskie, przedstawiające Pireusza z delfinem, niosącym

człowieka na grzbiecie. W końcu proponował zebrać pewną ilość delfinów, inaczej nazwanych cielętami morskiemi, z których każdy, jak koń, niósłby na grzbiecie tyraljera lub strzelca gwardii. »Nic łatwiejszego, mówił: przez czas, kiedy armia zbiera się nad brzegiem morza, można użyć marynarzy flotylli do łowienia delfinów, które natychmiast umieszczą w porcie. Tam, można je będzie oswoić i dać im instruktorów! Otóż to, mówił dalej p. Disjouval (zapewne w zachwyceniu sprawionym przez to olbrzymie odkrycie) otóż to kawalerya morska gotowa dostać się do Anglii.

To jeszcze nie wszystko; w przypiskach, opisywał szczegółowo jakim sposobem można przyzwycząić cielęta morskie do noszenia cugli i wędzideł; opisywał ryszunek delfina, ponieważ obstawał przy

tem imieniu poetyckiego. Przewidział nawet wypadek, w którym delfin, znajdując się w drodze, to jest na pełnym morzu, spotkał starych przyjaciół, z którymi chciałby odnowić dawną znajomość: w takim razie, pogrążenie jeźdźca i rumaka byłoby koniecznem. Żeby zapobiedz temu wypadkowi, p. Disjouval dodawał do ryszunku *delfina-konia* dwa ogromne wory, napełnione powietrzem i przywiązane do siodła jak olstra.... Taka była treść pisma, którą Napoleon przeczytał aż do końca; myśląc nawet, że autor chciał go mistyfikować, rzucił rękopism zdala od siebie. W pierwszym zapędzie, wziął dzwonek, chcąc wydać surowe roskazy względem nieszczęśliwego autora; ale wkrótce, uśmiechnawszy się litośnie, podniósł szeszyt mówiąc:

— Ba! to waryat! nie pokażni? się większym niż on.

Rzucił rękopism w ogień. Nazajutrz rano, zwiedziwszy jak zwykle roboty, przyprowadził z sobą na śniadanie admirała Brueix, marszałka Davoust, który powrócił z Ostendy, głównego inżynjera mostów i dróg bitych, p. Sgazin, i jenerała Faultrier, który zarządzał materyałami artylleryi; przy stole jeszcze rzekł do nich tajemniczo:

— Do pioruna! panowie, zadziwilibyście się bardzo, gdybym wam w tych dniach pokazał szwadron *bretanów* zupełnie uekwipowanych, wyuczonych i wymustrowanych! Spiecie szańce, lejecie działa; założę się, że nikt z was nie pomyślał o pułku takiego rodzaju? Co mówisz o tem Davoust?

Na te słowa, wszyscy biesiadnicy spojrzeli po sobie, nie wiedząc co o tem myśleć należało, wyjąwszy marszałka, który spuścił głowę przygryzłszy ust.

— Tak, mówił dalej cesarz żartobliwie, pułk kawaleryi morskiej, doskonałej, niewyciężonej.

I z uśmiechem opowiedział dziwny pomysł, który mu podano dnia poprzedniego. Usłyszawszy pierwsze słowa, Brueix śmiał się do rozpuku; Sganzin zdawał się namyślać, a Davoust siedział nieporuszony.

— Najjaśniejszy panie, rzekł generał Faultrier, przejęty oburzeniem, W. C. Mość nie może pozwolić, żeby się codziennie naśmiewano z nas z taką śmiałością; autor tego niedorzecznego pomysłu powinien być oddany żandarmeryi i zaprowadzony do Paryża, do...

— Charenton, wszak prawda generale?

— 57 —

z żywością przerwał Napoleon. I dla czego? ponieważ brakuje mu klepki w głowie! Do pioruna! dodał, rzucając surowe spojrzenie na marszałka, gdyby mi przyszło zamykać wszystkich, co mi przedstawiają głupie myśli i pomysły niedorzeczne, musiałbym przybudować skrzydło w zamku Vincennes. To jedno tylko uczynić należy, i łagodnie przedstawić autorowi pomysłu, żeby mniej zajmował się naszymi sprawami, a więcej swoim zdrowiem.

\* \* \*

O kuli detalowej, o złotej tabakierce i krzyżu legii honorowej

Napoleon, z jednej baterii, umieszczonej na brzegu, w obozie pod Boulogne, przypatrywał się za pomocą dalekovidza,

— 58 —

ogniowi i dzielnemu oporowi admirałskiego okrętu angielskiego: i zapytał porucznika artylleryi.

— Czy mniemasz, młodzieńcze, że artylerzyści tego okrętu są Anglicy?... Ja tak nie myślę.

Porucznik uczynił znak potwierdzający. W tejże samej chwili, kula działowa, wypuszczona z fregaty, dziesięć stop przeleciała nad głową Napoleona ze straszliwym rykiem, i zagrzebała się w ziemi o sto kroków od niego.

— Nie! znów zaczął Napoleon, który odwrócił głowę, żeby widzieć skutek kuli, ci artylerzyści nie są Anglicy. Ah! ah! mówił dalej widząc kanonjera z nadzwyczajną zręcznością obchodzącego się z działem, zdaje mi się, że jestem tu wśród znajomych. Bravo! Panie Pomayrol, rzekł do

— 59 —

niego Napoleon, poufale uderzając go po ramieniu: jak widzę jesteś zuch.

Artylleryzysta odwrócił głowę, a poznawszy cesarza, wykrzyknął radośnie:

— *Tron de Diou!* to wy, najjaśniejszy panie! Jakże zdrowie?

— Bardzo dobrze, mój zuchu. Jak widzę, jesteś bardzo zatrudniony.

— Do stu kartaczy! dumny jestem z tego. Piec grzeje, a my wrzecz mu każemy.

Wystrzał rozległ się i kula zerwała pawilon brygu nieprzyjacielskiego.

— Rapp, rzekł Napoleon wskazując swemu adiutantowi artylleryzystę, który wymierzył tak dzielny strzał, daj dwadzieścia franków temu człowiekowi.

Rapp miał przy sobie tylko podwójnego luidora i dał mu go.

— No, mówił dalej Napoleon do artylleryzystów, kto chce zarobić dwadzieścia

— 60 —

franków, żeby pić za moje zdrowie? Oto fregata zbliża się.

— *Tron de Diou!* to do mnie należy! zawołał Pomayrol; na mnie kolej.

— Jeśli pięknie przywitasz tę fregatę, która zdaje się drwić z ciebie; dam ci czterdzieści franków.

— Eh! to tak. jakbym je trzymał.

— Nie masz ich jeszcze, nie będziesz tak zręczny.

— *Tron de Diou!* zobaczy W. C. Mość jak padnie jego maszt przodkowy. Działo zostało nabitem. Pomayrol wymierzył, żołnierze stanęli na swoich miejscach.

— Pogniewaj się teraz cokolwiek, moja korko, rzekł Pomayrol, głaszcząc działo i dając znak kanonjerowi lont trzymającemu.

Ten ostatni daje ognia, i wielki maszt

— 61 —

fregaty upada rozcięty na dwoje: Pomayrol podskakuje, wołając:

— Aha! do stu kartaczy!

— Bravo! zawołał Napoleon, uderzając w ręce z zachwyceniem. Rapp, daj sto franków temu zuchowi.

— Najjaśniejszy panie, odpowiada adiutant dając znak głową, że już nie ma pieniędzy.

— Jak to! nie masz już pieniędzy! Ależ ja potrzebuję ich, mówi Napoleon z niecierpliwością, szukając po wszystkich kieszeniach. Dla czego nie było żądać ich dziś rano przed wyjazdem?

— *Tron de Diou!* najjaśniejszy panie, nie gniewajcie się na tego zacnego człowieka: wolę mu kredytować całe życie!

— Na, masz! rzekł Napoleon podając mu złotą tabakierkę, jedyny przedmiot znaleziony w kieszeni kamizelki.

— 62 —

Pomayrol nie śmiał wyciągnąć ręki.

— Weźże, mówię ci; postępuj jednak tak, żeby ci jej Anglicy nie odebrali.

— Do stu kartaczy! odebrać mi ją!... zawołał kanonjer ściskając pięści; wołałbym ją raczej połknąć, chociażby była tak gorąca jak te kule, *Tron de Diou!*

— Otóż się gniewasz, przerwał Napoleon z uśmiechem: uspokój się, spodziewam się, że do tego nigdy nie przyjdzie.

Potem, zwracając mowę do innych artylleryzystów:

— Róbcie tak zawsze jak teraz, zaręczam wam, że przed końcem przyszłego roku, pić będziecie w Londynie za moje zdrowie rum panów Anglików.

W kilka dni potem, Napoleon rozdawał krzyże legii honorowej walecznym. Nasz kanonjer Pomayrol był między temi, którzy dostąpili tego zaszczytu. Skoro

— 63 —

przyszła kolej na niego i kiedy zawołano go po imieniu, odpowiedział głosem stentora:

— Jestem, *Tron de Diou!*

Później wychodząc z szeregów jak pijany, chociaż był zupełnie na czczo, doznał pewnego rodzaju odurzenia, przybył do stóp tronu, rzucił kapelusz w powietrze, i zbłądziwszy na schodach, stanął jak posąg oko w oko z kontradmirałem Magon, nie wymówiwszy ani słowa, aż do chwili kiedy wyżsi oficerowie objaśnili go co ma czynić; ale dzielny marynarz nie był w stanie zrozumienia tego, co do niego mówiono: stracił głowę zupełnie, zeszedł ze schodów po lewej stronie i wszedł na prawo, nie widząc osób przed nim znajdujących się; nogi drżały pod nim, jak pod zbrodniarzem wstępującym na rusztowanie. Przybył tak gwałtownie na ostatnie stopnie, że potracił

— 64 —

Cambacérés'a, spokojnie rozmawiającego z Monge'em. Nakoniec, kiedy cesarz, spojrzawszy na niego z uśmiechem, jemu tylko właściwym, podniósł rękę, żeby mu założyć dekoracją. Pomayrol, nie rozumiejąc celu tego poruszenia, porwał rękę Napoleona, którą ten ostatni chętnie mu podał, i ścisnął ją wołając: *Oho! szczytę się tem!* ten komplement zranił palce cesarza. Potem odszedł nie zbłądziwszy na schodach, ale zbiegając po kilka stopni od razu i przewracając wszystkich, co się znajdowali na drodze. Przybywszy nakoniec schodów, wpadł w szeregi swoich towarzyszy jak pułk szarżujących kirasjerów na czworobok piechoty. Tam Pomayrol upadł zmysłów pozbawiony; ocucono go za pomocą kilku łyków wódki, którą w tym dniu obficie między żołnierzy rozdzielono.

\* \* \*

— 65 —

Bal i wyścigi.

Jedną z najbardziej uderzających, najbardziej charakterystycznych rzeczy w widowni, jaką przedstawiał obóz Bouloński był widok tych starych żołnierzy, tak strasznych w obliczu nieprzyjaciela, oddających się zabawom najniewinniejszym, jakby dzieci jakie. Prawie co wieczór, grenadjerowie starej gwardyi zbierali się na obszernej równinie, otaczającej barak cesarza. Kapral Morland, który nie tylko był nauczycielem robienia bronią, ale i tańca, brał wtedy swoje skrzypce, mające, jak skrzypce Paganiniego, zaledwie dwie lub trzy struny, i dawał lekcye swoim towarzyszom, wtórując ich skokom krzykliwym dźwiękiem fałszywego instrumentu. Pomayrol miał także cokolwiek pretensyi do

— 66 —

znajomości tańca; i nie raz nawet jego powodzenie było przyczyną bezsenności Morland'a. W końcu ten ostatni twierdził że taniec pana Pomayrol byłby wygwizdany w porządnem towarzystwie.

Po skończeniu lekcyi, najumiejętniejsi wykonywali kadryl, przy zaczęciu którego Pomayrol nigdy nie zapominał mówić tancerzom:

— Naprzód dwóch, potem czterech, do tysiąca kartaczy!

— Lewą nogą zaczynać! dodawał Morland, zazdrośny, że inny pozwala sobie dawać rady jego uczniom.

Ponieważ nie było tancerek, a ich role koniecznie zapełnione być musiały; żeby wykazać różnicę płci, ci, którzy przedstawiali damy, zawijali rękawy aż po łokcie, zdejmowali chustki z szyi, wywracali kołnierze mundurów, delikatnie trzymając

— 67 —

w palcach końce pól, które cokolwiek odsuwali, zaokrąglając ręce, robili mniejsze kroki i trzymali się sztywniej niż inni, wstydliwie spuszczać oczy.

Zabawy te cieszyły cesarza, który czasem im przypatrywał się, ukryty za żaluzją jadalni swego baraku. Nikt nie zdawał się szczęśliwszym od niego, kiedy widział swoich starych saperów armii włoskiej lub egipskiej, z posiwiałą brodą, z oliwkową cerą, z wychudłemi policzkami, z wyschłemi nogami, z słodyczą i znamionującą ich uprzejmością, zezwalających, żeby być użytecznemi i miłemi towarzyszowi na zastąpienie ról tancerek. Trzeba było widzieć spokojnego wojaka figurującego z Pomayrol'em w kadrylu, który śmiał się, krzyczał, walił nogą w nogę, skakał w prawo, w lewo, a nigdy w takt, co w rozpacz wprawiało Morland'a, którego gorszyła

— 68 —

nieprzyzwoitość jego antagonisty; taniec bowiem Pomayrol'a nie miał w sobie nic klasycznego, i zbliżał się bardzo do tegoczesnej *kacuczki*. Cesarz wtedy śmiał się do rozpuku; prawdziwie był szczęśliwym wesołości swoich ukochanych żołnierzy.

Innym razem jego starzy wāsale, którzy na pamięć umieli wszystkie okolicznościowe kuplety, śpiewali pod oknami *Wkroczenie do Anglii*, i powtarzali chórem:

*Przebyć ciałninę, wszak to nie morze wypić?*

Wtenczas wszyscy trzymali się za ręce i tworzyli koło baraku cesarskiego, ogromne rondo, złożone najczęściej ze wszystkich ludzi bataljonu i mieszały częstokroć do śpiewów: *Niech żyje, Cesarz!* Po tem wykrzyknieniu wszyscy stawali nieruchomo, jakby się znajdowali pod bronią;

— 69 —

później zaczynali na nowo, z lewej nogi według nauki plutonowej. Morland zawsze zaczynał szereg. Napoleon często rozdawał im napoje: butelkę wina na dwóch.

Marynarze gwardyi nie próżnowali także. Wymyślili oni małe łódki na kołkach, z długim masztem i szerokim żaglem; i kiedy wiatr był przyjazny, pływali po piasku nadbrzeżnym. Oficerowie sztabu konno postępowali często za nimi przypatrując się temu

ładowemu żeglowaniu, a rzadko im udawało się wydażyć. Kiedy się wiatr zmienił nagle, łódki wywracały się na ziemię; marynarze i znajdujący się na nich grenadyerowie, tarzali się w piasku, przy odgłosie śmiechu i klaskaniu patrzących.

Ten zwyczaj biegania stał się tak powszechnym, że żołnierze ścigali się między sobą. Napoleon, który z radością widział

— 70 —

armię swoją, oddającą się zabawom mogącym utrzymać w nich siłę i zdrowie, ustanowił dla zwycięzców nagrodę z dwudziestu, czterdziestu, a nawet stu franków. Kiedy zakład stanął między kilku pułkami, nagroda była rozdzielona stosunkowo między biegaczy, proporcjonalnie do większej lub mniejszej szybkości zwycięzców. Te zapasy nie pociągały żadnej za sobą nieprzyzwoitości, oprócz tego, że trzystu ludzi jednego razu, kolek dostawało.

Były także wyścigi konne między lekką kawaleryą. Nagroda była od stu do trzystu franków, Napoleon chciał jednego dnia, żeby oficerowie ścigali się z sobą i tym razem przyrzekł tysiąc dwieście franków zwycięzcy. Rada, złożona z wyższych oficerów, miała polecenie urządzenia warunków wyścigowych i przedstawiła ją cesarzowi,

— 71 —

który je potwierdził i wyznaczył dzień, kiedy wyścigi nastąpić miały. Nie każdy mógł ubiegać się o ten zaszczyt. Jeden młody oficer od dragonów, nazwiskiem Thierry, przybył z prośbą, żeby go zapisano. Rada oficerów nie chciała go przypuścić, pod pozorem, że nie miał dosyć wysokiego stopnia; w istocie był tylko podporucznikiem; ale prawdziwą przyczyną była, że Thierry uchodził za najlepszego jeźdźcę z całego szwadronu. Urażony tą odmową, podporucznik udał się do cesarza, który dowiedziawszy się, że ten młody człowiek był bardzo szanowanym w swoim pułku, przypuścił go do wyścigów.

Wielki dzień nadszedł. Napoleon przybywa, wszyscy współbiegający szykują się w jednej linii. Thierry wyściga wszystkich; już ma dobiec mety, gdy w tem przekłęty

— 72 —

pułel biegnie, szczerkając, rzuca się między nogi konia, który się zżyma, pada, toczy się kilka razy z swoim jeźdźcą, który zdaje się być przykutym do siodła, i tym sposobem przybywa pierwszy, tu zostaje nieporuszony, leżąc na piasku. Wszyscy mniemają że silny koń już nie żyje, a jego pan ma nogi i ręce połamane.

W dwie sekundy potem jeden dowódca szwadronu dobiega do mety i zostaje ogłoszony zwycięzcą. Tymczasem koń i jeździec starają się podnieść jak mogą. Młody Thierry ma już smutnie się oddalić, cokolwiek jednak pocieszony oznakami zajęcia jakie wzbudził, gdy w tem Napoleon woła:

— Ale nie! ten co upadł powinien otrzymać nagrodę.

Sędziowie wyścigów, którzy go otoczyli, z uszanowaniem zwracają jego uwagę, że

— 73 —

ten oficer nie postępował podług przepisów, i toczyć się z koniem nie jest to biedz.

— Nie idzie o to, odpowiedział cesarz; nie na środki tu uważać należy; ale na skutek; a tu skutek usprawiedliwia sposoby.

— Zapewne, najjaśniejszy panie; jednak...

— Ten oficer pierwszy dobiegł z swoim koniem, powinien więc otrzymać nagrodę.

— Ale najjaśniejszy panie, W. C. Mość...

— Może też to metoda panów dragonów, znów przerwał, biedz tym sposobem; a wy, panowie, którzy utrzymujecie, że nasza metoda jeżdżenia jest błędna, wy, którzy zawsze chcecie nowości wprowadzać do *szkoły szwadronowej*, otóż macie nową metodę! Nie myśleliście o niej, ani ja także, przyznaję. Nakoniec jest bardzo łatwy sposób załatwienia tej sprawy; jaki jest jedyny cel wyścigów? zapytał generała

— 74 —

pełniącego obowiązki prezesa, wszak dobiec najpierwszy kresu?

— To prawda, najjaśniejszy panie; jednak mniemam, że...

— Jenerale, odpowiedz mi tak, lub nie: czy koń oficera dragonów pierwiej przybył niż koń dowódcy szwadronu?

— Tak, najjaśniejszy panie; ale...

— To już dostateczne. Dla tego też, że koń pana Thierry wygrał nagrodę wyścigów, jemu więc dadzą tysiąc dwieście franków. Ale, ponieważ koń nie umiałby dać pokwitowania z odebranej summy, a że wypada, żeby sprawy odbywały się według reguł, dodał, usiłując zachować powagę, jego pan wyda pokwitowanie. Potem, obracając się do wielkiego marszałka:

— Duroc, wypłacisz na ręce porucznika Thierry, gdyż mianuję go porucznikiem,

— 75 —

summy tysiąc dwieście franków. Żegnam was panowie.

I wszyscy wykrzyknęli: *niech żyje cesarz!* i winszowali nowemu porucznikowi tak szczęśliwego wypadku. Napoleon, postępując w ten sposób, chciał wynagrodzić młodego Thierry za odmowę, której najprzód doznał i za przykry wypadek, którego ledwie życiem nie przypłacił; w tymże samym czasie dał naukę wyższym oficerom, że pokazali się zazdrośniami i niesprawiedliwymi dla podwładnego.

Te rozmaite zabawy podały Napoleonowi myśl spróbowania swojej zręczności w jeżdżeniu czterma końmi zaprzężonemi do powozu. Pewnego dnia usiadł na koźle i wziął lejce z rąk Cezara, swojego stangreta, który stanął za powozem, w nim zaś siedział arcy-kanclerz Cambacérès, senator Monge i Rapp adjutant służbowy.

— 76 —

Na nieszczęście te konie, darowane cesarzowi przez miasto Antwerpję, chociaż przepyszne i najlepszej rasy, nie były jeszcze dokładnie ujeżdżone. Sam Cezar nawet, pomimo długiego doświadczenia, potrzebował całej zręczności, żeby je utrzymać. Młode i ogniste, skoro nie czuły ręki, której posłusznymi być się nauczyły, ruszyły cwałem prosto do morza. Cezar widząc niebezpieczny kierunek, wołał na cesarza:

— Najjaśniejszy panie, na lewo! na lewo!

— Daj mi pokój, Cezar, wiem jak mam zrobić, odpowiedział cesarz, który już nie był panem koni.

— Ah! mój Boże, najjaśniejszy panie, gdzie jedzie W. C. Mość? zawołał Cambacérés, który, zwykle błąd, dostał koloru zupełnie żółtego, jak cytryna.

— 77 —

— Cambacérés, ty zawsze się boisz. Wiem co robię: wiozę was doskonale.

— Zapewne, najjaśniejszy panie, odrzekł Rapp, któremu nie bardzo chodziło o uspokojenie arcy-kanclerza, tym razem W.C. Mość prowadzi nas prosto do Anglii: wszak tego pragniemy oddawna.

— Zatrzymaj się, najjaśniejszy panie, zatrzymaj! wołał Cambacérés głosem płaczącym, widząc, że cesarz na złość zaciął konie. Co się tycze Monge'a, ten, zwiesiwszy głowę i zamknąwszy oczy, po cichu czynił uwagi, a w chwili kiedy, nachyliwszy się do drzwiczek mówił smutnie:

*Dośkonaly jest w kierowaniu kołmi do powozu.*

Ogromnie jedno koło uderzyło, o kamień i powóz ciężko się przewrócił. Konie zatrzymały się natychmiast. Napoleon,

— 78 —

gwałtownie rzucony o dziesięć kroków, zemdłał; Cambacérés dostał ogromnego guza w czoło; Monge miał kapelusz wtłoczony aż na brodę... Cezar spadł jeszcze w drodze.

Rapp lekko wyskoczył na ziemię, żeby dopomóc cesarzowi, który po dosyć długim cuceniu przyszedł do siebie. Wszyscy, wyjąwszy adjutanta, byli porządnie potłuczeni; jednak nikt nie mógł wstrzymać się od śmiechu, kiedy cesarz, oddając stangretowi bicz, rzekł z całą powagą:

»Trzeba oddać Cezarowi co jest cesarskiem.«

A później, kiedy go pytano jakiego doznał wrażenia w czasie upadku, odpowiedział:

— Na chwilę myślałem, że umarłem; ale cóż jest śmierć? mówił po krótkim milczeniu; długi sen bez marzenia.

\* \* \*

— 79 —

#### Posiedzenie literackie w Tuilleries.

Legouvé, przed oddaniem swojej trajedyi *Śmierć Henryka IV* Teatrowi Francuzkiemu, pomyślał, że należy ją odczytać przed cesarzem, który zezwolił na wysłuchanie jej. Posłuchanie było wyznaczone na godzinę dwunastą; akademik udał się do Saint-Cloud, w towarzystwie Talmy, który miał czytać jego sztukę. Za ich przybyciem siostry cesarza i towarzyszące im damy, chciały się umieścić w *salonie błękitnym*, w którym miało się odbyć to posiedzenie literackie. Każda z nich szczerze słyszeć pragnęła ten nowy płód autora dzieła: *Zalety kobiet*; ale grzecznie zostały odprawione przez Napoleona, który im powiedział, że to było posiedzenie

— 80 —

odosobnione, do którego się tylko przypuszcza cesarzową i wielkiego marszałka. Sam zamknął drzwi wiodące do tego salonu; potem wskazując krzesło panu Legouvé, prosił go żeby usiadł. Ten zdawał się wahać. Cesarz rzekł do niego z pewnym rodzajem gwałtowności łącznie z uprzejmością:

— Ah! więc pan chcesz żeby ja stał?

Talma zaczął czytać sztukę.

Na przykre zwierzenia się, jakie Henryk IV czynił Sully'emu o ciągle wznawiających się udręczeniach, jakimi bez ustanku niepokoila go дума Médicie, Napoleon mile uśmiechając się do Józefiny, zdawał się dziękować za jej słodycz i przywiązanie; później, usłyszawszy obraz żywego uczucia jakie łączyło Henryka IV z Sully'm, tego szczęścia tak rzadkiego dla władców, posiadać przyjaciela prawdziwego

— 81 —

i szczerego. Napoleon mile uczynił ręką poruszenie do Duroc'a, który, stał jedną ręką mając opartą na poręczy fotelu, słuchał sztuki z pilną uwagą. Kiedy Talma przeczytał ten wiersz, który, w ustach Bearnieńczyka, kazał przewidywać bliski koniec:

Drzę, nie wiem... jakieś czarne przeczucie...

Napoleon przerwał czytanie, mówiąc do Legouvé:

— Spodziewam się, że pan zmienisz to wyrażenie: król może drzeć: bo jest człowiekiem jak każdy inny; ale nigdy do tego przyznawać się nie powinien.

Legouvé wziął natychmiast rękopism z rąk Talmy i stosownie zmienił powyższe wyrażenie.

Nakoniec spiszek, knowany przeciw Henrykowi IV kończy się, i król pada pod

— 82 —

ciosem sztyletu, który fanatyczni mnisi dali w rękę Ravaiillac'owi. Sully, przejęty boleścią i przerażeniem, opowiada to zabójstwo.

— Biedny, godny człowiek! kilka razy powtórzył Napoleon, gdy tymczasem Józefina tonęła we łzach. Dobrześ pan uczynił, dodał zwracając mowę do pana Legouvé, żeś wymienił sprawców tej zbrodni. Przygotuj się jednak na liczne rozprawy literackie; ale przepowiadam twojej trajedyi świetne powodzenie.

Napoleon, po skończeniu tego czytania, mówił z poetą o jego innych pracach, i oznajmił mu zamiar wynagrodzenia jego talentu, jak na to zasługiwał; ale Legouvé odpowiedział mu skromnie, że jest dostatecznie wynagrodzony, ponieważ zaszczyca go szacunek publiczności, i że już jest członkiem instytutu.

— 83 —

— A więc nie chcesz pan nic? Zapytał go cesarz, rzucając nań badawczym okiem; nie życzysz sobie pensyi? Nie jesteś jednak bogatym.

— Najjaśniejszy panie, mam zaszczyt upewnić W. C. Mość, że nie potrzebuję niczego.

— Mój drogi Legouvé jesteś prawdziwym literatem.

Nazajutrz cesarz kazał wydać rozkaz artystom Teatru Francuzkiego, żeby jak można najprędzej grali sztukę Legouvé'go, i uprzedził ich, że będzie z cesarżową na pierwszym przedstawieniu. W ośm dni potem, afisz teatralny ogłosił jej przedstawienie na następny dzień. Zdaje się, że w tamtej epoce panowie artyści nie potrzebowali tak licznych prób, ze sztuk otrzymanych.

\* \* \*

— 84 —

Kula połknięta.

— Tak, najjaśniejszy panie, mówił marszałek Lannes do Napoleona; ten biedny \*\*\* wplątał się w awanturę i ma kulę w brzuchu.

P\*\*\* był dowódcą pułku dragonów cesarzowej, i opinia nie miała go za bardzo odważnego. Napoleon wiedział o tem; odpowiedział więc marszałkowi z twarzą zadziwioną:

— Kulę w brzuchu! on, \*\*\*! niepodobna! chyba że ją połknął.

\* \* \*

— 85 —

Uczony.

Kiedy kto wie dużo rzeczy, lubi o nich mówić. Dla tego też sławny Cuvier lubił mówić o naukach przyrodzonych; mówił o nich bardzo dobrze, ale czasem cokolwiek za długo. Napoleon, małomówny, kiedy tego była potrzeba, z przyjemnością słuchał tego uczonego, byleby tylko bez przedmów chciał dochodzić końca, który cesarz wiedzieć pragnął. Pewnego dnia kiedy Cuvier przybył w deputacyi z powinszowaniem cesarzowi do Saint-Cloud, Napoleon, skoro tylko spostrzegł go, rzekł:

— Dzień dobry, panie Cuvier; bardzo mi przyjemnie, że cię widzę. Ale, cóżeście robili w instytucie w przeszłym tygodniu.

— Najjaśniejszy panie, bardzo wiele zajmowaliśmy się cukrem z buraków.

— 86 —

— Ah! ah! to dobrze! I czy instytut mniema, że ziemia Francuzka zdatną będzie do uprawy buraków?

Cuvier, chcąc odpowiedzieć na to proste pytanie, jako prawdziwy uczony, rozpoczął rozprawę geologiczną o ziemi, potem przeszedł do historii naturalnej buraków, i kiedy doszedł do wniosku, cesarz już oddawna go nie słuchał. Dopiero milczenie profesora poznać mu dało jego roztargnienie.

— Cudownie, panie Cuvier, rzekł do niego, ale czy instytut mniema, że ziemia Francuzka jest zdatna do uprawy buraków?

Uczony, myśląc, że jakie roztargnienie było przyczyną nieuwagi cesarza, zaczął zupełnie na nowo swoją rozprawę i doprowadził ją aż do końca. Napoleon, który nie chciał słyszeć tak wiele, zamyślił się znowu o innej rzeczy; potem, kiedy

— 87 —

Cuvier skończył mówić, ukłonił mu się z temi słowami:

— Bardzo ci dziękuję, Cuvier. Jak tylko zobaczę Berthollet'a, zapytam go, czy panowie z instytutu sądzą, że ziemia Francuzka jest zdatna do uprawy buraków.

\* \* \*

Wspomnienie Austerlitz.

Jedną z najważniejszych zdolności Napoleona, była władza zebrania całej swojej uwagi w jeden punkt dany. Pod Marengo, Austerlitz, Jeną, Eylau, Friedland'em, Wagram i t. d. jedną miał tylko myśl: zwycięstwo. Pozyskawszy to zwycięstwo, jego myśl znów sięgała wszystkich spraw, które się rozdzielały dla jednej.

— 88 —

Zwykle, w wigilią walki, nim udał się na chwilę spoczynku, przechodził do małego namiotu, służącego mu za gabinet, i kazał wołać generała.

— No, Berthier, mówił do niego z twarzą zamyśloną, jutro wielki dzień; mamy dobrą grę; wydajmy rozkazy, trzeba włożyć ogień do petardy nim bomba pęknie: pisz.

I księżę Neufchatel, siedząc przy końcu wielkiego stołu od kart, oświeconego dwudziestu świecami, pisał za dyktowaniem liczne rozkazy, które miał rozesłać rozmaitym dowódcom wielkiej armii.

Nazajutrz, w czasie czynności, Napoleon, zwykle na koniu, pokazywał się wszędzie, przewidywał wszystko, rozkazywał wszędzie, i nie opuszczał pola bitwy, aż wypadkiienne zupełnie były poznane.

— 90 —

Wieczorem, wielka liczna depeszy znajdowała się zgromadzona w jego gabinecie, ponieważ w tym dniu nie mógł zwracać uwagi na ogromną korespondencyą, prowadzoną w czasie kampanii. Kazał sekretarzom czytać ją, odpowiadać i zdawać sprawę ze wszystkiego co zawierała; potem dyktował te wielkie biuletyny, które zawiadamiały Francją o nowym tryumfie, Przy pomocy księcia Bassano ekspediował pracę dzienną każdego z swoich ministrów, nie tracąc z uwagi ściągając nieprzyjaciela i korzyści zwycięstwa. Nakoniec, nazajutrz rano, zwiedzał pole bitwy, udzielał pochwały, rozdawał nagrody zaraz na gruncie, i udawał się do głównej kwatery pocieszywszy ranionych żołnierzy. Tym, których niepodobna było ocalić, pomagał umierać, jak pod Austerlitz, pod Wagram.

Dzień bitwy pod Austerlitz był jednym

z najpiękniejszych pomników chwały Napoleona. Tam, jak we Włoszech, pobił nieprzyjaciół mniejszością liczby i jedynie siłą jenuusza. Tego samego dnia rano, widząc kierunek kolumn nieprzyjacielskich:

— Dobrze, mówił do marszałka Lannes, zacierając ręce, mam ich: tak robią właśnie, jakem chciał.

Pod Austerlitz to widziano pierwszy raz kirassyerów francuzkich szarżujących na baterie nieprzyjacielskie.

Wieczorem po bitwie, Napoleon miał przepędzać noc w chacie opustoszałej, na drodze do Brunn. Pomimo nadzwyczajnego utrudzenia, był tak zadowolony ze sposobu, jakim wszyscy wypełnili swoje obowiązki, że był w nadzwyczajnie dobrym humorze. Nie odmawiał niczego. Zaprosił wszystkich na wieczerzą. Kiedy

mówimy na wieczerzę, chcemy powiedzieć, że wszyscy siadali przy stole, na którym znajdowały się tylko gotowane kartofle, suszone owoce i orzechy. Ale też za to widziano na tym stole, pokrytym najpiękniejszą bielizną, więcej niż za sto tysięcy srebra, złota i kryształów. Talerz, który każdy z biesiadników miał przed sobą był wart najmniej sześćdziesiąt franków. Kiedy zażądał chleba i wina Chambertin, zwrócono mu uwagę, że chleb krajowy, jedyny jaki miano, był z niegodziwej mąki, w którym nawet sterczały kawały słomy.

— A cóż jedzą nasi żołnierze? zawołał.

Zostawiam ci do myślenia, czytelniku, kiedy żołnierze dowiedzieli się, że ich cesarz jadł ich chleb, czy który mógł i czyby się poważał uskarżać. Po skończeniu tej wiejskiej wieczerzy, Napoleon kazał

swojemu adjutantowi powziąć wiadomości o powodzeniu bitwy; potem pożegnawszy wszystkich jak najgrzeczniej, i na nowo wydawszy rozkazy swoim marszałkom, owinął się płaszczem i przez dwie godziny spał tak spokojnie, jak w łóżku w pałacu Tuilleries.



#### Zwiedzanie pola bitwy.

Skoro dzień ukazał się, wstał, żeby odbyć *przechadzkę* na polu bitwy. Uważnie spoglądając na prawo i na lewo, zdawało mu się, że spostrzegł żołnierza ranionego, który czynił daremne usiłowania, żeby powstać. Napoleon zbliża się do niego.

— Jak się nazywasz? zapytał go łagodnie nachylając się ku niemu.

— Jabalot, rzekł *Paryżanin*, sierżant wołyżerów, instruktor 4tej linii.

— Tak, poznaję cię; nie mogłem tylko przypomnieć sobie twojego nazwiska. Panie! zawołał Napoleon zwracając się do oficera ze swojego sztabu, masz pan czuwać nad tem, żeby ten człowiek był natychmiast opatrzonym: odpowiesz pan za niego.

— Daj pokój, majorze, mówił Jabalot, wstrzymywany przez oficera, który natychmiast zsiadł z konia, po co się trudzić, już się ze mną skończyło.

— Spodziewam się, że nie, rzekł Napoleon; patentowany instruktor nie dałby sobie zadać niebezpiecznego pchnięcia.

— Za pozwoleniem! zawołał Jabalot, dostałem kulę działową... Trzeba by być dzielnym fechmistrzem, żeby odeprzeć taki raz.

— Dla ciebie krzyż i szlify przy pierwszym przeglądzie, mówię ci.

— Nie stawię się na apel, najjaśniejszy panie, mówił Jabalot głosem prawie przygasłym; jeden sierżant mniej w kompanii cóż to znaczy?... Awans dla kolegów, ot i wszystko!... To nie przeszkodzi czwartemu liniowemu dziarsko iść oko w oko nieprzyjacielowi, z bagnetem w rękę, i zawsze liczyć się do niezwycięzonych...

Napoleon nie dodał ani słowa, smutnie udał się dalej, przyspieszając biegu konia.

Co się tycze nieprzyjaciół, zamiast śmierci, której się spodziewali, znajdowali w Francuzach szlachetnych zwycięzców, ich zadziwienie było tak wielkie, że padali na kolana przed cesarzem, wyciągając do niego osłabione ręce na znak wdzięczności.

Powróciwszy do chaty, w której noc przepędził, Napoleon najprzód wysłał oficera

służbowego do ambulansu, żeby się dowiedział o ranionym Jabalot. Oficer powrócił wkrótce.

— I cóż, jak się miewa?

— Najjaśniejszy panie, już przestał cierpieć.

— Ah! ah! zawołał cesarz kilka razy uderzając szpicrutą po swoich butach.

Po chwili milczenia dodał:

— Pójdiesz pan dowiedzieć się od dowódcy tego korpusu, czy ten podoficer miał żonę, dzieci, rodzinę, i zdasz mi sprawę na piśmie z tego polecenia.



#### Wynagrodzenie.

Nazajutrz po bitwie pod Austerlitz, Napoleon odbył przegląd kilku oddziałów

swojej armii, i każdemu z nich oświadczył, w pochlebnych wyrazach, zadowolenie doznane z wczorajszego prowadzenia. Kiedy przybył przed front bataljonu, który na chwilę uległ wysileniom oddziału nieprzyjacielskiego, twarz jego zachmurzyła się, i cofnąwszy konia na kilka kroków, gniewliwym wzrokiem przebiegając linię, zawołał:

— Żołnierze! co się stało z orłem, którego wam dałem?... Przysięgliście bronić go do śmierci!

Lekki szmer, a po nim głębokie milczenie, było całą odpowiedzią na tę żywą wymówkę. Dowódca bataljonu wyszedł z szeregu:

— Najjaśniejszy panie, rzekł z pewnym rodzajem wahania się, chorąży został zabity na chwilę przed pierwszą szarżą, a dopiero po drugiej, kiedy pułk sformował

— 97 —

się w karre, spostrzegliśmy zniknięcie naszego orła.

— I cóżeście uczynili bez sztandaru? zapytał surowo Napoleon.

— Najjaśniejszy panie, poszliśmy po niego w szeregi nieprzyjacielskie, i prosimy W. C. Mość, aby nam w zamian raczyła, dać innego orła.

I dwaj podoficerowie wystąpili z szeregów, każdy z nich niósł sztandar nieprzyjacielski. Napoleon przez chwilę patrzył na te krwawe jeszcze trofea; zdawał się wahać, potem rzekł:

— Żołnierze! czy przysięgacie mi na honor, że żaden z was nie dostrzegł straty orła?

— Przysięgamy, odrzekł cały pułk jednym głosem.

— Przysięgacie, że każdy z was byłby poległ, byleby go odebrać.

— 98 —

— Przysięgamy!

— I strzedz będziecie tego, którego wam dam, bo wiecie, że kiedy żołnierz stracił sztandar, stracił wszystko!

Tym razem krzyki zapału były całą odpowiedzią.

— A więc, rzekł cesarz wyciągając ręce, zezwalam dać wam orła za te sztandary. Co się ciebie tycze, dowódco, dodał tonem mniej surowym, aniżeli pierwszym razem, przyjdiesz do mnie po skończonym przeglądzie: mam z tobą pomówić.

Zaledwie skończył się ten długi przegląd, kiedy dowódca bataljonu stanął przed Napoleonem.

— A! bardzo mi przyjemnie widzieć pana, rzekł do niego, oddawszy ukłon i odciągając go na stronę: to twój bataljon osłabł dnia wczorajszego.

— Najjaśniejszy panie, nacierali na nas

— 99 —

z tak bliska, że nie podobna nam było dawać razem ognia.

— Zawsze pozory, zawsze wymówki...

— Najjaśniejszy panie, nie moja w tem wina, że nie został zabity! odrzekł oficer z niechęcią.

— Ah! co mówisz dowódco? źle zrozumiałeś mię. Niech mię Bóg zachowa, żebym ci miał czynić wyrzuty, że jesteś dziś zdrów i cały; przeciwnie bardzo mi to miło; chciałem tylko przypomnieć panu, że to do was dowódców batalionowych należy zachęcać, dawać przykład żołnierzom, twoi bali się.

— Najjaśniejszy panie! zawołał dzielny oficer, odsuwając się na dwa kroki, a wargi zbladły mu, drżały, najjaśniejszy panie, zdaje mi się, że wczoraj dał dowody, jeżeli W. C. Mość mnie...

— Twoi żołnierze bali się, mówię panu!

— 100 —

powtórzył Napoleon podnosząc głos i wlepiając w dowódcę wzrok błyszczący. Znam się na tem, jak mi się zdaje, i tylko podli i kłamcy chwalić się mogą, że się nie bali, a przynajmniej raz w życiu. Rozumiesz mię pan teraz.

Potem, zwolna zbliżywszy się do oficera, spostrzegł rozdarcie, które zaczerniło jasny kolor kołnierza.

— Co to jest? zapytał go Napoleon z uśmiechem pełnym zajęcia, i w tym samym czasie wsunął palce w to rozdarcie: oto dziurka od guzika, która dziś już nie jest podług formy.

— Nie wiem... odpowiada dowódca obojętnie: to może dziura...

— A ta szlifa? mówił dalej Napoleon zawsze tym samym tonem, patrz pan w jakim stanie! Potrzebujesz pan innej.

— 101 —

W istocie, połowa szlify była oderwana przez kartacz, sznurki wisiały koło niej.

— Najjaśniejszy panie, może to kula, odpowiada oficer nie przywiązując żadnej wagi tym nieodwołalnym dowodom jego waleczności.

— Tak, kula zrobiła dziurę! tak jest... Chwilę, jakżeż panu pilno! Niecierpliwie zawołał Napoleon, ponieważ dowódca chciał się oddalić: mam jeszcze panu coś powiedzieć.

Potem, znów zagłębiając palce w dziurę kołnierza, którą bardziej jeszcze powiększył, mówił dalej:

— Dziś wieczór, panie *pulkowniku*, odbywszy apel i przegląd twoich ludzi, pójdiesz do generała Berthier i poprosisz go odemnie, żeby ci dał rozetkę do zaszcycia tej dziury.

— 102 —

Napoleon, widząc że oficer rozczuła się, dodał:

— No, no, uspokój się! daj pokój dzieciństwu. Idź, i postępuj tak, żeby cię nigdy nie zabito; czem przed chwilą zdawało się, żeś mi groził, mnie, twojemu cesarzowi, który cię kocham, cenię. Otóż to jest szlachetność!

I z lekka pociągnawszy go za wąsy, nagle odwrócił się od niego, chcąc zapewne uniknąć *sceny rozczulenia*, jak mawiał, i połączył się z swojemi marszałkami.

\* \* \*

Oszczędny sposób rozgrzania żołnierzy.

Gdy dość długo gwardya cesarska stała pod bronią, Berthier zwrócił na to uwagę cesarza, mówiąc:

— 103 —

— Najjaśniejszy panie, co rozkaże W. C. Mość?

Na te wyrazy, Napoleon ostro spojrzął na generała:

— Ależ panie marszałku, rzekł do niego z podziwieniem, zdaje mi się, że nie mam nic do rozkazania; gwardya pójdzie za mną: wszak zawsze mi towarzyszy?

— Ale bo już więcej niż cztery godziny jest pod bronią; odpowiedział Berthier, nie bardzo musi jej być gorąco, dodał usiłując uśmiechnąć się.

— Zawsze jesteś zmarzlak! Odpowiedział Napoleon, widocznie urażony tą uwagą; mam sposób rozgrzania jej, panie marszałku, pójdź za mną.

Napoleon udał się ku dwóm pułkom starej gwardyi, które od powrotu nic złamały szeregów. Kiedy był o sto kroków od nich, żołnierze uszykowali się, i na

— 104 —

komendę: *Prezentuj broń!* bębny zabraniały, orły się ukloniły; cesarz przyłożył rękę do kapelusza i uklonił się przyspieszając kroku; pułkownicy według zwyczaju salutowali szpadami. Napoleon oddał im ten ukłon powtórnie zdjawszy kapelus; nakoniec przybywszy na dziesięć kroków, dał znak dobozom, żeby przestali, i zwracając mowę do pułkowników, znajdujących się przed nim:

— Panowie, rzekł do nich wesoło, nie znajdujemy się tu na dworze Tuilleries, nie przychodzę tu na przegląd; są to odwiedziny, które oddaję waszym żołnierzom; każcie panowie wziąć broń jak się komu podoba.

Komenda: *Baczność!... W kozły broń!* została powtórzona przez dowódców bataljonowych; wtedy między szeregami dało się słyszeć ciche szeptanie; ale na trzecią

— 105 —

kommendę: *Równaj się!* największe milczenie nastąpiło; po tych rozmowach, i cały szereg przybrał zwykłą nieporuszonosc. Wtedy Napoleon zbliżył się zupełnie do linii i przeszedł koło pierwszego szeregu. Niektórym skłonił się głową; innym powiedział: *Dzień dobry, dzień dobry!* Do tych, których znał cokolwiek bliżej, przemówił słów kilka, przechodząc między nowemi, powiedział tylko: *Dobrze! dobrze!* ale przyszedłszy na koniec bataljonu, nagle się odwrócił, dostrzegł *starego*, który jak kilku innych, chuchał w palce. Odgłos tego chuchania był podobny do miechu kuźni, i to zwróciło uwagę cesarza.

— Co to znaczy? rzekł do żołnierza, naśladując jego pantominę, czy ci zimno. Fe!

Stary żołnierz schwylił natychmiast karabin, podniósł głowę, starając się

— 106 —

przygryźć niższą część wąsów, które mróz zamienił w kawał lodu; ostro spojrział cesarzowi w oczy i nic nie odpowiedział. Napoleon

nie mógł wstrzymać się od uśmiechu; ale wkrótce ozwał się głosem, w którym nie było nic żartobliwego.

— Mnie gorąco!

— Być może, najjaśniejszy panie, odpowiedział grenadyer z najpoważniejszą twarzą, nie zmieniając postawy; ale to pewna, że zimno szczybie cokolwiek, a my nie mamy szczęścia być, jak W.C. Mość, nieuległymi ogniowi i wodzie.

Na te wyrazy cesarz śmiał się z całego serca, i wszyscy, co się przy nim znajdowali podobnie uczyli, nie bardzo wiedząc dla czego, bo żaden z nich nie zrozumiał wyrazów żołnierza. Napoleon udał się w dalszą drogę, mówiąc:

— Wszyscy rozgrzejecie się dziś wieczór.

— 107 —

Skoro przybył przed front I-go bataljonu, muzyka zagrała śpiew: *Wygrana nasza wygrana!* Cesarz spojrział na marszałka Berthier, i rzekł do niego z uśmiechem:

— Ten śpiew bardzo stosowny do oko licznosci, zdolny rozgrzać serca tych, którzy się do zwycięstwa przyczynili.

Potem, zatrzymawszy się na chwilę przed ogromnym tambur-majorem pierwszego pułku grenadyerów, który z przyczyny nieruchomości i bogatego munduru mógł być porównany z najpiękniejszym modelem Korcyusza, spokojnie powrócił do ogniska swego biwaku, zawsze obie ręce trzymając w kieszeniach surduta. Nakoniec wsiadł na konia i w towarzystwie świetnego sztabu, zwolna powrócił drogą wiodącą do zamku księcia Kaunitz. Tymczasem gwardya zerwała szeregi, żeby

— 108 —

się sformować w kolumny ścieśnione, i wyruszyła towarzysząc muzyce okrzykami: *Niech żyje cesarz!*

\* \* \*

#### Pożyczka dział.

Skutki kampanii Austerlickiej zatrzymywały jeszcze Napoleona w środku Niemiec, kiedy minister finansów, p. Gaudin (później książę de Gaëte) powziął zamiar rozszerzenia po rozmaitych mennicach cesarstwa nowego sposobu wyrabiania pieniędzy, który z powodzeniem przyjęty został w Paryżu; ten sposób miał nie tylko tę własność że uskutecznił pracę łatwiej, dokładniej, ale ochraniał robotników od przypadków, na jakie dotychczas używane

— 109 —

maszyny, codziennie ich narażały. Ale do tego trzeba było ogromnej ilości mosiądzu; a takim sposobem nowy sposób bicia monety był bardzo kosztowny. Jednak biuletyny Wielkiej Armii, które doniosły szczegółowo o ogromnej liczbie dział na nieprzyjaciółach zabranych, nasunęły panu Gaudin myśl użycia małej cząstki tych łupów na wykonanie swego zamiaru. Dla tego też skoro tylko Napoleon powrócił do Paryża, natychmiast udał się do Tuilleries z prośbą, żeby mu wydano dwadzieścia dział.

— Dwadzieścia dział! zawołał cesarz z podziwieniem, dwadzieścia dział! I na jaki użytek, panie ministrze? Czybyś pan chciał prowadzić ze mną wojnę? Dodał wesoło.

— Pewnie, że nie, najjaśniejszy panie; bo między mną i W. C. Mością strony byłyby bardzo nierówne; ale chciałbym

— 110 —

upowszechnić użycie nowego wahadła w mennicach, które nam tu jest bardzo korzystnym, co już miałem zaszczyt wykazać W. C. Mości na kilka dni przed jego odjazdem do armii.

— Ah! prawda. Więc?

— Najjaśniejszy panie, W. C. Mość wie, że całe to wahadło jest mosiężne, i wie także, że mój budżet nie jest tak bogaty, żeby mógł ponieść podobny wydatek. Całaby trudność zniknęła, gdyby W. C. Mość raczyła udzielić mi dwadzieścia sztuk dział.

— Ależ, mój drogi ministrze, dwadzieścia sztuk dział, to wiele! Niezmiernie wiele! W czasach, w których żyjemy działa...

— Nie są rzadkie, najjaśniejszy panie, przerwał minister, kłaniając się.

— 111 —

— Ale kosztuje drogo, panie! surowo odrzekł Napoleon. No, ustąp mi cokolwiek.

— Niepodobna, najjaśniejszy panie, ponieważ wyliczyłem, że tyle a nie mniej mi potrzeba, i w tej chwili cesarz zmarszczył cokolwiek brwi, minister dodał: A potem, mam zamiar nazwać te wahadła *Austerlickie*, wyryty zaś na nich będzie napis: *Mosiądz zdobyty na nieprzyjaciolach*.

Na te wyrazy rozjaśniła się twarz Napoleona, oczy mu zabłyśły.

— Ah! ah! mój drogi, rzekł z lekka szczypanąwszy ministra za ucho, jesteś bardzo zręczny. Uderzasz na moją słabą stronę: cokolwiek próżności, przyznaję się do niej. I któryż władca nie miałby jej na mojem miejscu, pytam, was panowie, mówił odwracając się do obecnych ministrów?

— 112 —

Panie Gaudin, będziesz miał działa. Ministrze wojny, wydasz rozkazy, żeby dwadzieścia dział, niezdatnych do użycia, ma się rozumieć, były wydane do rozporządzenia pańskiego kolegi, ministra skarbu; ale nie więcej jak dwadzieścia!

Wahadła te są dziś jeszcze używane w rozmaitych mennicach Francji; napisy tylko zostały zatarte, i straciły pierwotne nazwisko.

\* \* \*

Kalambur.

Artyści opery mieli udział w uroczystości danej w Rambouillet przez Napoleona; minister spraw wewnętrznych otrzymał rozkaz udzielenia każdemu z nich podarunku,

— 113 —

odpowiedniego talentowi. Ten ostatni, nie chcąc zapewne obciążyć swojego budżetu, posłał im książki ślicznie oprawione, które miał pod ręką. Ten podarunek, jak każdy łatwo domyślić się może, nie bardzo uradował tancerki. Po niejakiem czasie, Napoleon, chcąc wyprawić drugą uroczystość, zupełnie podobną do pierwszej, zapytał ministra, co też posłał pierwszym razem artystom opery, na podziękowanie.

— Najjaśniejszy panie, kazałem im doręczyć książki (*des livres*).

— Jak to?... zawołał zadziwiony Napoleon: liwry? turyjskie (\*) zapewne!

— Nie, najjaśniejszy panie: dzieła bardzo

---

(\*) Nazwisko nadawane monecie bitej w mieście Tours.

— 114 —

zajmujące. Wszystkie były złożone na brzegach i rogach i oprawne w sańian.

I wyliczył mu tytuły dzieł.

— P. ministrze, rzekł do niego Napoleon z uśmiechem, spodziewam się, że tym razem damy opery zapłacone będą frankami, nie zaś liwrami.

\* \* \*

Nowy Arun-al-Hadzi.

Napoleon, niecierpliwy widzieć skończonym plac Vendôme, codziennie ganił architektów za ich opieszałość; »choć, jak mówił nie brakowało im ani rąk ani pieniędzy.« Często udawał się na miejsce, żeby sądzić o wrażeniu, jakie sprawi nowa kolumna, którą uposaży miasto; nakoniec,

— 115 —

kiedy ogromne rusztowanie, dopomódz mające umieszczeniu *fac-similów* zwycięstw francuzkich, prawie już było skończone, sam chciał je zwiedzić; w tym celu, ubrany po cywilnemu, wyszedł przede dniem z swojego pałacu, w towarzystwie wielkiego marszałka dworu; przechodzi ogród Tuilleries i udaje się na plac Vendôme, w chwili kiedy dzień zaczął się pokazywać.

— Co mi mówili Fontaine i Percier o zawaleniu drogi! zawołał. Według ich słów zgromadzono tu mnóstwo belek; nic tego nie widzę.

— Najjaśniejszy panie, czy W. C. Mość nie słyszy odgłosu jaki wydają piły cieśli?

— Jedna,... dwie... trzy... cztery... Jest ich najwięcej pół tuzina! Co się zdaje tym panom przedsiębiorcom?... Każą sobie jednak płacić dosyć drogo. Ah! ah! Duroc, pójdz no tutaj, dodał Napoleon, ciągnąc

— 116 —

marszałka za rękę, gdy tymczasem drugą nasuwał na czoło okrągły kapelusz z szerokimi skrzydłami. (Spostrzegł ogromną sztukę drzewa, którą robotnicy napróżno usiłowali włożyć na walce, aby ją przetoczyć na inne miejsce). Ci ludzie nie umieją się wziąć do tego; założę się, że między niemi nic ma żadnego artylleryzysty. Ah! niezgrabni! Muszę ich nauczyć!

— Ale czegoż to chcesz najjaśniejszy panie! Czy W. C. Mość chce zdradzić swoje incognito.

— Zawsze się boisz! przerwał Napoleon. Czyli nie przypominam sobie dawnego rzemiosła? Sądz o tem sam! to jest po prostu manewr artylleryjny; należy tylko postawić dwóch na przodzie, a potem razem...

— Najjaśniejszy pan ma słuszność; ale W. C. Mość, pozwoli zwrócić swoją uwagę...

— 117 —

— W istocie, to prawda; ale oni nic na tem nie znają się; a ponieważ idzie o wzniesienie pomnika chwały Francyi, zdaje mi się, że się dosyć do niej przyłożył. Zobaczmy co zrobiono z drugiej strony.

Obejrzawszy olbrzymi szkielet we wszystkich jego szczegółach i chodząc przynajmniej trzy kwadransy w okolicy, cesarz udał się w dalszą drogę idąc ulicą Napoleona (*dzisiaj ulica de la Paix*), na której nowe domy wznosiły się jakby za znakiem czarodziejskim; i zwróciwszy się na prawo, wszedł na bulwar mówiąc wesoło do Duroc'a:

— Panowie Paryżanie muszą być bardzo leniwi w tym cyrkule, ponieważ wszystkie sklepy jeszcze są pozamykane, chociaż już dzień.

Po drodze cesarz uważał rozmaite domy, które, zbyt wystając, zasłaniały

— 118 —

widok rozpościerający się na bulwar, albo zawałały drogę publiczną; zanotował je sobie w pugilaresie, chcąc o nich mówić z Fontain'em. skoro tylko razem z nim pracować będzie. Tak rozmawiając, przybył przed *Chińskie Łazienki*, które niedawno na nowo pomalowanymi zostały. Kiedy krytykował ozdoby zewnętrzne i skały utrzymujące budowle, kawiarnia, należąca do zakładu, otworzoną została.

— A gdybyśmy weszli na śniadanie, rzekł do Duroc'a; co myślisz o tem? Czy ta przechadzka nie podnieciła twego apetytu.

— Najjaśniejszy panie to zbyt wcześnie: dopiero ósma.

— Twój zegarek zawsze się spóźnia! A ja głodny jestem. A wreszcie będzie to czas oszczędzony na resztę dnia.

I nie czekając odpowiedzi, Napoleon,

— 119 —

bez ceremonii wchodzi do kawiarni, siada przy stole, woła chłopca i żąda kotletów baranich, omletu z pietruszką (były to jego ulubione potrawy) i wina Chambertin. Zjadłszy z bardzo dobrym apetytem i wypiszy pół filiżanki kawy, która, jak utrzymywał była lepszą, aniżeli ta, którą mu dawano w Tuilleries. woła chłopca, pyta się o rachunek, i wstaje, mówiąc do Duroc'a:

— Zapłać, i idźmy: już czas.

Potem, stając na progu drzwi, zakłada ręce na krzyż na grzbiecie i zaczyna gwizdać jakieś recitativo włoskie, bujając się całym ciałem, jakby dla znaczenia taktu.

Wielki marszałek wstał w tymże samym czasie; ale na próżno przetrząsnąwszy wszystkie kieszenie, przekonywa się, że skutkiem spieszego ubierania się, zapomniał woreczka, a wie że cesarz nie nosi

— 120 —

pieniędzy nigdy przy sobie. Tymczasem chłopiec przychodzi i pokazuje osłupiałemu marszałkowi rachunek, dochodzący dwunastu franków. Oba spoglądają na siebie przez czas niejaki nie wymówiwszy ani słowa: pierwszy, ponieważ nic podobnego nigdy mu się nie wydarzyło; drugi ponieważ od razu zgadł przyczynę kłopotu, który Duroc napróżno starał się ukryć. Tymczasem Napoleon, który nie wie o wypadku i nic nie widział, mało przyzwyczajony czekać na kogo, nie może zrozumieć powolności Duroc'a; już nawet kilka razy odwrócił głowę, mówiąc z niecierpliwością:

— No, idźmy, spiesz się; już późno!

Wielki marszałek, uważając nakoniec, że to krytyczne położenie dłużej trwać nie może, i myśląc, żeby się z niego wydostać, należy tylko wyznać wszystko otwarcie,

— 121 —

decyduje się, i zbliżywszy się do utrzymującej kawiarnię, która stoi obojętnie przy bufecie, domyśla się zapewne o wszystkim, mówi do niej grzecznie, ale cokolwiek ze wstydem:

— Pani, ja i mój przyjaciel wyszliśmy tego rana cokolwiek... za śpiesznie: zapomnieliśmy pieniędzy... ale daję pani słowo honoru, że za godzinę odeślę tę należność.

— Być może, zimno odpowiada jejmość, ale ja nie znam żadnego z panów, a co dzień wydarza mi się coś podobnego. Widzisz więc pan.

— Pani, przerwał wielki marszałek, którego ta odpowiedź do zarumienienia się zmusiła, jesteśmy ludźmi honorowemi, jesteśmy oficerowie gwardyi.

— Piękni goście, panowie oficerowie gwardyi.

— 122 —

Na te wyrazy *ludzie honorowi* i *oficerowie gwardyi*, które Napoleon dosłyszał, domyśla on się, że zaszło jakieś względem niego nieporozumienie, i odwracając się, raz jeszcze rzekł. tupnąwszy nogą;

— Co to jest?

Ale na dany znak przez Duroc'a, zostaje nieruchomy na swoim miejscu, nasuwa kapelusz na oczy i przestaje gwizdać. Chłopcu nakoniec zostawiony jest zaszczyt zakończenia tej sceny, nie mającej nic powabnego dla głównych jej działaczy. Nie poznaje on cesarza w małej osobie, z postawą tak komiczną, z poruszeniami tak rozkazującymi i twarzą niecierpliwość wykazującą, która to osobka, gwizdząc przygląda się przechodzącym, i zdaje się nie mieszać do niczego; ale co się tycze wielkiego marszałka, coś mu się marzy, że widział tę twarz między oficerami,

— 123 —

odbywającami codziennie paradę przed pałacem Tuilleries; odpowiada więc z kolei:

— Pani, ponieważ ci panowie zapomnieli wziąć pioniędzy, ja ręczę za nich, przekonany, że mężni oficerowie gwardii nie chcieliby krzywdy wyrządzić biednemu chłopcu z kawiarni.

— Otóż takim jesteś zawsze! Odpowiada właścicielka z gniewem; otóż znowu straciłam dwanaście franków.

— Nie, pani, odpowiada chłopiec z pewnym rodzajem godności, oddam pani pieniądze natychmiast.

I wyjmując z kieszeni tę małą sumkę, oddaje ją gospodyni, którą ją przyjmuje, gderając wciąż przeciw tym, którzy wydają pieniądze nie mając ich. Wielki marszałek tymczasem wyjął z kieszeni zegarek podał go chłopcu, mówiąc:

— Mój przyjacielu, oto mój zegarek,

— 124 —

zatrzymaj go. proszę cię, dopóki nie zaspokoję zaciągniętego długu. Dziękuję ci za siebie, a szczególniej *meo przyjacielu*, który niecierpliw się zapewne, ponieważ mu pilno.

— Panie, nie potrzebuję tego zastawu; jestem przekonany, że panowie jesteście najuczciwsiymi ludźmi.

— Tak, mój przyjacielu, mówi dalej Duroc, nie będziesz żałował twójgo zaufania. I połączył się z cesarzem. Szli dalej bulwarem, przyśpieszając kroku; w obawie, żeby za nimi kto nie poszedł; udali się w stronę *Przejścia Panoramy*, które Napoleon chciał także zwiedzić. Po drodze Duroc opowiedział mu szczegóły wypadku, który ich zatrzymał; cesarz śmiał się z niego z całego serca i unosił się nad szlachetnością chłopca z kawiarni, który nie znając ich, zapłacił za śniadanie.

— 125 —

— To musi być dziecię Paryża, rzekł, założyłbym się: oni wszyscy są tacy; idą za pierwszym uniesieniem, rzucają pieniądze bez namysłu, pierwszemu co się nadarzy, bez wahania, bez żalu. Ah! w czasie wojny można sądzić o tych zuchach! Gdyby mieli tyle żołdu, co marszałkowie, znajdą jednak sposób powiedzenia, że to jeszcze nie dosyć.

Tak rozmawiając przybyli do *Przejścia Panoramy*, które naówczas było najpiękniejszym i najbogatszym z całego Paryża. Jeden sklep zwrócił na siebie uwagę Napoleona; był to przepyszny magazyn alabastru, który widziano jeszcze przed kilku laty. Dwa przeszliczne naczynia, w stylu *Medicis*, wystawione na widok, wydały mu się w bardzo dobrym guście; żeby się dowiedzieć o cenie, wszedł do tego magazynu, którego drzwi były otwarte.

— 126 —

Oglądał się na prawo i na lewo, i spostrzegł tylko grubą służącą, która zamiatała, ale tak niezgrabnie, w obawie, żeby czego nie stłuc, że cesarz nie mógł wstrzymać się od śmiechu, ale to takiego, jakiego nie wydał od czasu pobytu w Brienne. Co się tycze Duroc'a, ten został na ulicy, nie sądząc, żeby jego obecność była bardzo potrzebna.

— Ah! rzekł Napoleon do służącej, skoro wesołość jego cokolwiek się uspokoiła, a więc tu nie ma nikogo! ani pana, ani pani! Zdaje się, że to są leniuchy, co bardzo późno wstają.

— Czy pan przychodzisz co kupić? Zapytała go służąca tonem szyderyczym, zawieszając swoją robotę. Potem, spoglądając na cesarza, trzymając ręce i brodę opartą na miotle, z kolei ciekawie mu się przypatrywała.

— 127 —

— W istocie! chcę wiedzieć co kosztują te dwa naczynia.

— Hm! nie byłabym się tego domyśliła, mówiła znowu: zawołam panią.

Kupcowa zeszła wkrótce, poprawiając sobie chustkę na ramionach.

— Czem panu mogę służyć? sucho zapytała cesarza.

— Chciałem się dowiedzieć o cenie tych naczyń.

— Czy pan chcesz je kupić?

— Do pioruna! zdaje się, zawołał Napoleon, cokolwiek zdziwiony tem zapytaniem.

— Cztery tysiące franków, nic ustąpić nie mogę.

— Cztery tysiące, zawołał Napoleon, którego twarz i obejście tej pani nie uprzedziły na jej korzyść; cztery tysiące! ależ

— 128 —

to strasznie drogo, za bardzo drogo dla mnie.

I lekko dotknąwszy kapelusza, jakby się chciał uklonić, już miał wyjść z magazynu, gdy w tem kupcowa, ujawszy się pod boki, dodała szyderyczo:

— To można widzieć od razu! te naczynia mnie samą kosztują pięć tysięcy! Ale czy nie lepiej sprzedać ze stratą, aniżeli umrzeć z głodu? Teraz piękne robimy interesa! Zawsze wojna, wszyscy się skarżą, handel nie idzie, kupcy bankrutują; ale mimo to podatki płacić trzeba...

Na pierwsze wyrazy tej kobiety, twarz Napoleona przybrała wyraz trudny do opisania: najprzód lekko się zarumieniła, potem zwolna znow odzyskała tę zwykłą jej bladeść; ale wszystkie jej muszkuły wyprężyły się; wargi posiniały, oczy rzucały

— 129 —

błyskawice; założył ręce na piersiach, ścisnął pięści.

— Czy masz pani męża? zapytał tym głosem piorunującym, który najśmielszym nakazywał milczenie, Gdzie jest? dla czego nie widzę go?

— O! nie gniewaj się pan; mam go, dzięki Bogu! ale dziś rano wyszedł bardzo wcześnie, żeby odebrać cokolwiek pieniędzy. To trudno, nikt nie ma ani jednego su! a w końcu, co pan chcesz od niego? wszak ja tu jestem?

— Dosyć, pani, dosyć! Chciałem powiedzieć mężowi pani, że może wezmę te naczynia... później... zobaczę...

I Napoleon, bardziej wstydzając się swego uniesienia, aniżeli sceny wyprawionej mu przez tę kobietę, wychodzi z magazynu z wzruszeniem, którego ukryć nie jest w stanie.

— 130 —

— Na honor, mówi do Duroc'a, dostałem to na co zasłużyłem. Jakaś głupia kobieta, jakaś megera, miesza się do polityki, zamiast pilnować swoich naczyń! O! ja zmyję głowę mężowi, bo to jego w tem wina.

Jak to widzimy, nie wszystko było korzystnym w tem *incognito*, chociaż to rzadko się zdarzało. Nasi dwaj awanturnicy powrócili do pałacu, w którym wkrótce zapomnieli o kupcowej alabastrów i o zjedzonym na kredyt śniadaniu.

Sześć tygodni upłynęło gdy w tem jednego rana, Napoleon rzekł do Duroc'a:

— Nie mam dziś nic ważnego do roboty; może się cokolwiek przejdziemy.

— Zimno, najjaśniejszy panie; a potem, dziś wilia Bożego narodzenia, święto prawie. Przy zbliżającym się nowym roku, zawsze wiele ludzi znajduje się na ulicach,

— 131 —

będących przy Palais-Royal i na bulwarach. Gdzież uda się W. C. Mość bez obawy być poznanym?

— To prawda Duroc; czekajmy do wieczora. Ale, a interes w kawiarni przy Łazienkach Chińskich, cóż się z nim stało?

— Wstydę się wyznać najjaśniejszemu panu, że o niej nie pomyślałem od tego czasu; zapomniałem nawet kazać wypłacić dwanaście franków chłopcu, który nas wybawił z tak przykrego położenia.

— To źle, to bardzo źle, Duroc; mnie wolno zapominać o podobnych rzeczach, ale ty...

— Najjaśniejszy panie, ja wynagrodzę to zapomnienie.

— Tak, zapewne; dziś, natychmiast nawet, trzeba je godnie wynagrodzić; rozumiesz mnie!... Przy tej samej sposobności powiesz kupcowej naczyniu, żeby kazała

— 132 —

przynieść te, które kiedyś targowałem; ja także mam wynagrodzić zapomnienie względem niej, teraz kolej na mnie, i zobaczymy...

Była to godzina dziesiąta rano; służący, któremu Duroc dał stosowne polecenia, wszedł do kawiarni przy Łazienkach Chińskich, i zwracając mowę do gospodyni rzekł:

— Pani, wszak to tutaj jest temu blisko sześć tygodni śniadało dwóch panów, oba byli w niebieskich surdutach, i nie mieli pieniędzy...

— Tak, panie, odpowiada gospodyni cokolwiek zmieszana, ponieważ ten człowiek miał na sobie liberyę dworu cesarskiego.

— To był najjaśniejszy cesarz i wielki marszałek pałacu; czy mogę mówić z chłopcem, który za nich zapłacił?

— 133 —

— W istocie... tak... panie...

Gospodyni dzwoni i ledwie nie mdleje; mówi tylko o tem, że się rzuci do wody, jeżeli jej zabronią rzucić się do nóg cesarza; służący oddaje chłopcu paczkę zawierającą pięćdziesiąt napoleonów, i mówi:

— Wielki marszałek dworu, kazał powiedzieć, że jeżeli chcesz prosić go o jaką łaskę dla siebie, lub dla swoich krewnych, bardzo miło będzie mu być ci użytecznym.

Chłopiec ten nazywał się Dargens; śpiesznie korzystał z przychylnego usposobienia marszałka, który umieścił go na dworze cesarza, jako służącego. Niebawem pozyskał zaufanie Józefiny, która przyjęła go do swoich usług, kiedy, po rozwodzie, oddalała się do Malmaison, i dziwny los ludzi ówczesnych! w końcu wszedł w służbę Wellingtona w roku 1814.

— 134 —

W kwadrans po bytności w kawiarni Łazienek Chińskich, ten sam służący wszedł do pięknego składu alabastrów, i rzekł do właściciela:

— Żądany pan jesteś natychmiast do pałacu, z dwoma naczyniami, które J. C. Mość targowała u państwa przed sześciu tygodniami; śpiesz się pan. J. C. Mość czeka.

— Ah! mój Boże! zawołał, on każe mię rozstrzelać.

Potem zwracając mowę do żony, która nie wymówiła ani słowa skutkiem przerażenia:

— Domyślałem się tego, mówiłaś o polityce, mówiłaś źle o rządzie, jak ci się to codziennie przytrafia, i przed kim jeszcze! przed cesarzem i królem jegomością!... nigdy nie możesz powściągnąć tego przeklętego języka; ileż ci to razy już

— 135 —

mówiłem!... A tyś go wzięła za szpiega!.. A mój Boże! skończyło się... teraz mię poprowadzą na rusztowanie!...

Przerażenie, zmysłów pozbawiało tego biedaka, którego służący wszelkimi siłami starał się uspokoić. Nakoniec, odzyskawszy cokolwiek siły, zdołał wsiąść do fiakra i przybyć do Tuilleries. Wprowadzają go natychmiast do pałacu cesarza, w którym znajduje samego Napoleona; drży tak mocno, że zaledwie utrzymać się może na nogach.

— A! znaleziono pana nakoniec, mówi cesarz tonem surowym, zaledwie mogąc wstrzymać się od śmiechu, miło mi widzieć pana.

I biorąc z szuflady ośm biletów tysiąc frankowych, podaje je kupcowi, który nie wie czy ma wyciągnąć rękę po nie; Napoleon dodaje potem, tym tonem krótkim,

— 136 —

który był mu zwykłym, kiedy miał tylko wyrzuty czynić:

— Byłem kiedyś w twoim magazynie. Targowałem te naczynia. Żona twoja chciała za nie cztery tysiące franków, mówiąc mi, że ją kosztują pięć. Chociaż to jest kłamstwo, oto ośm tysięcy... Weźże!... Jest to cztery tysiące za naczynia, a cztery żeby wynagrodzić gniew, który żona twoja spowodowała przeciw nam; ale powiedz jej, żeby pilnowała swoich garków, i nie mieszała się do polityki, bo ją każe wsadzić do domu waryatek, i ciebie także, żebyś ją nauczył milczeć. Odejdź pan, już nie mam nic do powiedzenia ci.

Tego samego dnia, w wilią Bożego narodzenia, marszałek Marmont, generał Lauriston, Corvisart, pani Dessaux, dama dworu Józefiny, hrabia Darberg, szambelan

— 137 —

cesarza i kilka innych osób, należących do dworu J. C. Mości obiadowali u Lavalette'a. Przy obiedzie mówiono wiele o historii kupcowej alabastrów, której naczynia były wielbione przez uczęszczających na pokoje, i naturalnie była mowa o prywatnych przechadzkach J. C. Mości. Biesiadnicy byli bardzo weseli. Była prawie północ, lokaj pana Lavalette oznajmił marszałkowi, że jego kabriolet zajechał.

— Nie odjeżdżam dzisiaj, odpowiedział Marmont.

I zwracając mowę do p. Lavalette:

— Kochany dyrektorze, rob jak chcesz, ale nie wychodzę dziś wieczorem od ciebie; jest mi tu za bardzo wygodnie, żebym się miał oddalić.

— A więc, zostań pan marszałek z nami, odpowiedziała pani Lavalette, dam

— 138 —

wam wszystkim wieszczę około północy, wilię.

— Prawda, to dzisiaj, powiedział Lauriston.  
— A więc żeby świetnie dzień zakończyć, mówi pani Dessaux, zaprowadźcie nas panowie na pasterkę.  
— Zgoda! podamy paniom ręce.  
— Przyjmujemy, mówi pani Lavalette; ale do którego kościoła pójdziemy.  
— Do pioruna! moja przyjaciółko, pójdziemy do naszego parafialnego kościoła, mówi jej mąż, do Świętego Eustachego, kilka tylko kroków.  
— Alboż to parafia! zawołał Corvisart! trzeba pójść do Świętego Rocha; tam przynajmniej msza odbywa się z muzyką; a potem więcej tam bywa ludzi.  
— Zgoda! woła Lavalette; sądzę że się tam zabawimy.

— 139 —

Chociaż damy nie robiły wielkich toalet, żeby być na obiedzie bez ceremonii, niepodobna im jednak było iść na mszę w sukniach z krótkimi rękawami i z gołą głową; pani Lavalette przyrzekła dać pani Dessaux do jej rozporządzenia wszystko; co mogło służyć do zmiany toalety. W kilka chwil wszystko było gotowem; ale te damy nie zwracały uwagi na śmieszny postawę, nadaną im przez tę zmianę ubioru: jedna ma suknię za długą, druga włożyła za mały kapeluszek i obie śmieją się z swojego ubrania.  
Wsiadają jednak do powozu i przybywają do Świętego Rocha, Lauriston postępował na przodzie tej niby processyi, i pukając przez zapomnienie laską po kamiennej posadzce bardzo był podobny do szwajcara parafialnego. Marmont, Lavalette, Corvisart, którzy za nim postępowali,

— 140 —

pomimo usiłowań nie mogli wstrzymać się od śmiechu. W tem koło jednego filaru ciemniejszego niż inne, dwóch ludzi nagle ukazuje się przed nimi. Oba są ubrani w szaraczkowe surduty zupełnie zapięte. Mniejszy z nich żywo zbliża się do grupy, i mówi tonem poważnym i surowym nawet:

— Te śmiechy są nieprzyzwoite! Niech kto chce przychodzi do kościoła; ale kiedy się do niego przychodzi, niemniej przyzwoicie zachować się należy niż w Tuilleries.

I mały jegomość znika za filarem, zostawiając wesołe towarzystwo jakby uderzone fantastycznym widziadłem, wszyscy bowiem mniemali, że słyszą głos dobrze im znany...

Nie mylili się bynajmniej, był to głos cesarza.

\* \* \*

— 141 —

Żarłok.

Między walecznymi oficerami, któremi Napoleon był otoczony, było kilku sławnych, nietylko rzemiosłem wojskowym, ale i z innych względów: i tak, Junot i Fournier uchodzili za najlepszych strzelców z pistoletu: jenerał Lavalette znany był ze swojej namiętności do muzyki, którą posuwał do tego stopnia, że zawsze miał fortepian w furgonie; jeżeli jenerał amator muzyki, miał zwyczaj pić tylko wodę, za to przeciwnie przyjaciel jego jenerał Bisson. uchodził za najzapaleńszego miłośnika wina.

Pewnego dnia, Napoleon, spotkawszy go w Berlinie, rzekł:

— I cóż, Bisson, pijesz zawsze dobrze?

— 142 —

— Jako tako, najjaśniejszy panie: nie więcej nad dwadzieścia butelek.

To już nazwać można było poprawą, ponieważ widziano go nieraz, jak kończył trzydziestą i nigdy się nie upił.

Ten waleczny oficer miał postawę wysoką i siłę nadzwyczajną; nowy ten Herkules posiadał olbrzymi apetyt.

Dnia poprzedzającego wyjazd Napoleona na kampanię rossyjską, Bisson otrzymał rozkaz udania się natychmiast do Saint-Cloud, gdzie znajdowała się J. C. Mość. Szambelan służbowy wprowadził go do małego salonu, poprzedzającego gabinet Napoleona, i zostawia jenerała, aż cesarz każe go zawołać! Bisson czeka przez długi czas. Przybył o czwartej po południu; już jest szósta, a cesarz wołać go nie każe.

Jenerał, mogąc zajmować się tem tylko

— 143 —

co się przedstawia jego oczom, spostrzega wkrótce, że lokaj co półgodziny wnosi gorące kurczę, oddaje je paziowi, a ten stawia je potem na stoliku, umieszczonym w jednym z kątów salonu, i wynosi natychmiast to, które je poprzedzało. Bisson nie może już oprzeć się przerażającemu go głosowi; bo nie jadł obiadu przed wyjazdem z Paryża; w jednym mgnieniu oka zjada tłuste kurczę. Paż, wszedłszy, nie widząc kurczęcia, prędko biegnie po inne, nie mogąc pojąć zniknięcia pierwszego. Drugie, trzecie kurczę doznają tegoż samego losu. Wtedy hałas ogromny w kuchni; wydano rozkaz zrewidowania tych, przez ręce których kurczę ma przechodzić z kuchni do salonu. Paż rozpacza najbardziej: myśli, że djabeł wmieszał się w tę sprawę. Nakoniec, cesarz, nie wiedząc tem co się stało, każe wołać jenerała

— 144 —

Bisson do swego gabinetu, daje mu zlecenia, i odprawia w pięć minut po wnijsciu, co nadzwyczajnie raduje jenerała; zatrzymuje on się u Legriela, sławnego restauratora znajdującego się przy wrotach parku Saint-Cloud, i sam chce uśmierzyć apetyt, który trzy zjedzone kurczęta zaostrzyły. Jednak przed udaniem się na spoczynek, szambelan służbowy ośmiela się opowiedzieć J. C. Mości to, co się stało przed wieczorem.

Cesarz śmiał się z tego do rozpuku i rzekł:

— Założę się, że to Bisson był przyczyną zniknięcia moich kurcząt. Jest to dzielny, waleczny oficer; na polu bitwy jest on Goliatem; ale w mieście to prawdziwy Gargantua: codzień potrzeba wołu, żeby go zadowolić.

Co większa, ten apetyt nienasycony, to

— 145 —

pożercze pragnienie, były fizycznymi potrzebami jenerała Bisson. Napoleon wiedział o tem, a ponieważ kochał go bardzo, wyznaczył mu z własnej kassy, sześć tysięcy, jako dodatek na koszt stołu.

\* \* \*

Przed kampanią tylsitską (1807), cesarz powziął myśl zgromadzenia przy swoim tronie szczątków dawnej arystokracji: żandarmerya służbowa została sformowana dekretem cesarskim. Sądząc z pozorów, ten wyborowy korpus w późniejszym czasie miał posiadać większe przywileje aniżeli stara gwardya. A przynajmniej tak mniemano, ponieważ wielu z młodzieży

— 146 —

bogatych i pierwszych we Francyi rodzin, zaciągnęło się i własnym kosztem umundurowało, żeby do tego pułku należeć. Każdy prosty żołnierz miał przy sobie służącego, który miał staranie o jego koniu. Ten, tak ulubiony pułk, musiał naturalnie wzbudzić zazdrość w wielu znakomitych oficerach, którzy z niskiego pochodzenia, pragnęli tylko wejść do gwardyi, nawet kosztem stopnia; zdawało się, że poznają zamiary cesarza w wyborze starego jenerała Montmorency-Laval na pułkownika żandarmeryi służbowej.

Ale skoro tylko wielka armia rozpoczęła swoje działania w Prusiech, służący zostali usunięci z wyborowego pułku. Stąd wynikło, że, chociaż pułk ten złożony z ludzi bardzo walecznych, ale przyzwyczajonych do wszelkich dostatków życia, był dosyć źle utrzymany. Inna jest rzecz

— 147 —

walecznie iść na nieprzyjaciela, a inna być masztalerzem własnego konia, kiedy się do tego nie przyzwyczało. Ci, których najbardziej niepokoiło utworzenie pułku wyborowej żandarmeryi, odnieśli pierwszeństwo w oczach Napoleona. Pułk ten po kampanii został rozpuszczony, a największa część tych, którzy doń należeli, otrzymała patenta na oficerów w pułkach jazdy.

Między temi prostemi żandarmami znajdował się jeden, p. d'Albignac, który był, jak to mówią pospolicie ty a ty z swoim pułkownikiem. Przybywszy do Prus, przystępuje raz do p. de Montmorency i wprost bez ceremonii żąda od niego czegoś potrzebnego do swojego rynsztunku. Ale stary jenerał przybierając ton poważny odpowiada:

— Mój drogi d'Albignac, w Paryżu,

— 148 —

u księżnej de Luynes, kiedy gramy w karty, rozmawiamy z sobą jako dobrzy przyjaciele, towarzysze broni; ale teraz, tu, to tak być nie może. Powinieneś wiedzieć co to jest starszeństwo wojskowe. Potrzebujesz munsztuka i popręgu? To bardzo dobrze; ale przychodzisz o to do mnie, twojego pułkownika! Nie taki jest porządek rzeczy. Musisz się z tem udać do twojego wachmistrza, który zda raport porucznikowi, tamten kapitanowi, kapitan zda go majorowi, który przyjdzie do mnie po rozkazy, ponieważ jestem waszym dowódcą. Zrozumiałeś to dobrze, mój drogi d'Albignac?

— Zrozumiałem, jenerale.

— Tak powinno być we wszystkim, dodał p. de Montmorency.

— Dobrze, jenerale.

Wkrótce potem, p. d'Albignac ciężko

— 149 —

został raniony pod Jeną, p. de Montmorency przychodzi odwiedzić go i zapytuje z zajęciem, jak się miewa. P. d'Albignac chociaż bardzo cierpiący, mniema że ma sposobność powiedzenia swojemu pułkownikowi, że dobrze pojął jego wykład o starszeństwie wojskowym, i zamiast po prostu odpowiedzieć na zapytanie, mówi mu najpoważniej w świecie:

— Jenerale, wydaj rozkaz majorowi., który go przekaże kapitanowi, ten zaś porucznikowi, porucznik przyśle mojego wachmistrza, któremu powiem dopiero, że się mam lepiej, bo tak jest w istocie.

Stary jenerał nie mógł się wstrzymać od śmiechu z wesołości, okazanej przez p. d'Albignac wśród cierpień. Napoleon śmiał się także, dowiedziawszy się o całej awanturze.

\* \* \*

— 150 —

### Mały dobosz.

Było to w Prusiech na początku lutego 1807 r. Pora roku była bardzo przykra. Napoleon spodziewał się być atakowanym (co się istotnie stało d. 8 tegoż miesiąca) przez nieprzyjaciół zebranych na płaszczyźnie wsi Preussisch-Eylau. W wilią, to jest dnia 7 lutego rano, przed świtem, Napoleon sam obudził adjutanta służbowego, śpiącego na pęku słomy, umieszczonej na poprzek drzwi chaty, służącej im za schronienie, i z lekka wstrząsnawszy jego ręką:

— Idźmy, Savary, rzekł do niego, przejdziemy się cokolwiek.

I kiedy Savary idzie uwiadomić oficerów, mających stanować świtę cesarza,

— 151 —

ten ostatni wychodzi z chaty, żeby zobaczyć jaka jest pogoda: zimniej było jeszcze aniżeli dnia poprzedniego, ale blask księżycy był prześliczny. O kilka kroków Napoleon spostrzega grenadiera, będącego na warcie, starego wojaka, który wiedział, że honory wojskowe nikomu nie powinny być oddawane między capstrzykiem i pobudką, stał sobie wygodnie, wziął karabin między nogi, i spokojnie nakładał sobie fajkę.

— Słuchaj no, zawołał na niego cesarz, zdaje mi się, że dziś zimno?

— To pewna, najjaśniejszy panie, że wczoraj o tej godzinie było cokolwiek cieplej, odpowiedział grenadyer, chcąc temi słowy dać przystosowanie do krwawej utarczki, która miała miejsce dnia wczorajszego między korpusem marszałka Davoust i oddziałem nieprzyjacielskim.

— 152 —

— A! tak ci się zdaje.

— Piękna to była myśl pociągnięcia ich w tę dziurę lodową, która jest stąd niedaleko, żeby ich rozgrzać strzałami działowemi.

— Myślisz więc, że to mogłoby się źle dla nich skończyć?

— Najjaśniejszy panie, ja myślę, że to się skończy z nimi zupełną odwilżą, która da im lekcję francuzkiej grzeczności!

— Najjaśniejszy panie, rzekł Savary, który połączył się z Napoleonem w czasie tej krótkiej rozmowy, ten żołnierz chociaż żartem, jednak prawdę mówi. Nigdy W. C. Mość lepiej natchnioną nie była; nigdy jego waleczna armia nie okazała więcej zapału i ufności w zwycięstwo.

— Mój drogi, oni chcieli wojny, mówił Napoleon przechadzając się z założonymi na krzyż rękami; okazałem się gotowym

— 153 —

na ich usługi, ale aż do końca powinniśmy ją prowadzić jak przystało na uczciwych ludzi i zwłaszcza starać się oszczędzać krwi naszych żołnierzy... Wszak prawda? dodał zwracając się do grenadyera.

— Zapewne, najjaśniejszy panie, odrzekł wojak, żywo prezentując broń, ponieważ słońce już wschodzić zaczynało; ale mówiąc przenośnie: gdzie drwa rąbią tam i wióry padają.

Na te słowa Napoleon, który już trzymał nogę w strzemieniu, gorzko się uśmiechnął; potem, dając lekki ukłon ręką grenadyerowi, który stał niewzruszony jak posąg, puścił się galopem, żeby przejrzeć szeregi; za nim postępowali oficerowie jego sztabu, którzy przybyli jedni po drugich.

Przybywszy przed front 4-go pułku artylleryi pieszej, w którym był kapitanem przed piętnastu laty, Napoleon spostrzegł

— 154 —

małego dobosza, mającego najwięcej dziesięć lat. Zdziwiony szczupłością postawy tego dziecka, które zdaje się z trudnością dźwigać bęben, zsiada z konia, zbliża się, potem pieszczotliwie biorąc go za brodę, mówi głosem ojcowskim prawie:

— Ile masz lat, malcze ?

— W krótkie mieć będę dwanaście najjaśniejszy panie, odpowiada malec, z gwałtownie bijącym sercem.

— Źle uczynili ci, co cię tu przyprawdzili: trzeba było, żeby jeszcze poczekali ze trzy lub cztery lata.

— Najjaśniejszy panie, moja matka tego chciała.

— A więc powiesz twojej matce odemnie, że nie ma zdrowych zmysłów; wreszcie one wszystkie są takie. Jak się nazywa twoja matka?

— Marja Franciszka Siébert, najjaśniejszy

— 155 —

panie, jest wiwandierką, w 20 liniowym... zna ona dobrze W. C. Mość, i mój brat Franciszek także.

— Siébert!... rzekł cesarz zmarszczywszy cokolwiek brwi, zdaje mi się, żeś gdzieś słyszał to nazwisko: co robi twój ojciec?

— Już teraz nic nie robi, ponieważ został zabity pod Marengo.

— A! a! rzekł Napoleon odsuwając się na kilka kroków. Chwalebny zgon dla niego, mówił dalej poważnie; ale nieszczęśliwy dla ciebie.

I chcąc oddalić z swojej i dziecka myśli przykre wspomnienie, mówił:

— Mówisz, że masz brata?... zapewne jest przy twojej matce ?

— Tak, najjaśniejszy panie; ale jest fajfrem, i daleko większy aniżeli ja, ponieważ...

— Nic to nie znaczy! oburkliwie przerwał

— 156 —

Napoleon, wymawiając i przyciskiem każdy wyraz; powiesz swojej matce jak ją zobaczysz, żeś cię uznał zbyt młodym do odprawiania kampanii, i powtarzam ci, że ona nierozsądna.

— Najjaśniejszy panie, ja nie ośmielę się, wyjąknął mały dobosz, spuściwszy oczy.

— I dla czego?

— Bo nie mówi się tego matce, kiedy się ją kocha.

Na te wyrazy Napoleon uczynił mimowolne poruszenie; potem wstrząsnąwszy głową, rzekł po cichu do marszałka Berthier, stojącego przy nim:

— Malec ma słuszość, nie głupi. Nie ja to powinienem wzniecać w dzieciach zapomnienie szacunku dla matek; ale jego matka jednak źle zrobiła. Patrzcie panowie, mówił potem, pokazując jednemu

— 157 —

z oficerów małego dobosza, który bił w bęben drobnymi rękami; wszak to piękny żołnierz, zdolny stanąć oko w oko nieprzyjacielskiemu kirassyerowi.

— Ale, najjaśniejszy panie, odrzekł Siébert wspinając się na palce, ja się nie boję, ponieważ umiem bębnić wszystko. P. Romeuf nasz nauczyciel, daje mi osobne lekcye w dniach kiedy nie wyklada teorii moim towarzyszom.

— A!... to co innego ! odparł Napoleon czyniąc poruszenie szyderczego potwierdzenia. Skoro p. Romeuf daje ci osobne lekcye, nie mam ci już nic do powiedzenia, chyba to tylko, żeś o tem nie wiedział. Wreszcie jutro sami będziemy świadkami postępu jaki uczyniłeś w szkole wysłużonego tambur-majora.

I z lekka pociągnąwszy Siéberta za

— 158 —

ucho, Napoleon uśmiechnął się, wsiadł na konia i pojechał dalej.

— Ładny chłopak, rzekł do Savarego, odbywając przegląd pułku: nie przebaczyłbym nigdy matce, gdyby go spotkało jakie nieszczęście.

Walka pod Austerlitz była *uderzeniem piorunu*, ale bitwa pod Eylau, którą nieprzyjaciele utrzymywali, że wygrali, chociaż Francuzi jej nie przegrali, może być porównaną do trzęsienia ziemi, ponieważ ta bitwa była najstraszniejszą, jaką kiedykolwiek armia francuzka stoczyła. Cały ranek zeszedł na przedmowach śmiertelnych, według słów Murat'a, który tu, równie jak wszędzie, dokazywał cudów waleczności. Koło godziny trzeciej po południu walka była tak krwawa, że najodważniejsi przerazili się nią. Bateria gwardyi, złożona z ośmiu dział dwunastofuntowych

— 159 —

kartaczami dała ognia do nieprzyjaciół i rozbiła ich ze szczętem. Noc dopiero położyła koniec tej rzezi i armia francuzka biwakowała na polu bitwy wtem samem położeniu, w którym walczyła dzień cały.

Na drugi dzień, dnia 9 lutego, Napoleon, o świcie, jak zwykle, był już na koniu. Przebiegał wszystkie miejsca, na których znajdowały się obie armie w czasie działania. Ziemia pokryta była pokładem śniegu, przez który tu i owdzie starczały trupy i szczotki rozmaitego rodzaju; wszędzie szerokie plamy krwawe czerwieniły chwilową białość ziemi. Oddziały więźniów przebiegały we wszystkich kierunkach to obszerne pole i unosiły ranionych do ambulansów; był to straszny widok. Powracając przez płaszczyznę Preussisch-Eylau, Napoleon przejeżdżał przez miejsce, w którym stara gwardya i korpus marszałka

— 160 —

Davoust stawiały mężne czoło całej armii nieprzyjacielskiej. Tam leżało szesnastu jenerałów francuzkich, między którymi waleczni d'Hautpoul, Dahlmann i Corbineau, dowódcy dywizyonów starej gwardyi. Widząc tę straszną mozaikę, Napoleon rzekł głosem stłumionym:

— O! jakżeż śmierć przechodziła tędy!

W tej samej chwili długi szereg wozów obciążony trupami nieprzyjaciół wszedł na płaszczyznę i skierował się ku niemu. Skoro ten smutny konwój zbliżył się, Napoleon zatrzymał konia, i zwracając się do swego sztabu, rzekł:

— Stójmy! panowie... zdjąć kapelusze!...powiedział głosem wzruszonym.

I sam odkrywszy głowę z pewnym rodzajem uszanowania, skoro pierwszy wóz nadszedł;

— 161 —

— Cześć nieszczęśliwej odwadze! powiedział.

Skoro ostatni wóz przeszedł koło niego, zwrócił konia i oddalił się; ale zaledwie ujechał dwieście kroków, gdy spostrzegł coś jakby masę niekształtną, niesioną przez człowieka w bluzie.

— Savary, rzekł do swego adiutanta, idź zobacz co to jest.

Adjutant spiął konia ostrogami i wkrótce powrócił.

— Najjaśniejszy panie, jest to młody dobosz, którego niosą do ambulansu; ma obie nogi urwane.

— Biedny mały, rzekł cesarz smutnie spuszczać głowę.

Ale nagle uczyniwszy poruszenie, jak gdyby przykre wspomnienie nasunęło się myśli jego, powiedział:

— 162 —

— Młody dobosz, mówisz pan?... Biegnij pan, biegnij, dowiedz się o jego nazwisku i liczbie pułku.

Adjutant pobiegł jak strzała, W czasie jego krótkiej nieobecności, Napoleon ulegał wzruszeniu, nad którym panować nie był w stanie; nie unikło bowiem przed wzrokiem żadnego z obecnych. Savary powrócił.

— I cóż? któż on jest? zapytał Napoleon z żywością.

— Najjaśniejszy panie, należy on do 4-go pułku artylleryi pieszej. Staralem się go wypytywać, ale w stanie, w jakim się ten biedny mały znajduje, wszystko czegom się mógł dowiedzieć, jest, że się nazywa Siébert, i...

— O mój Boże! domyślałem się tego! zawołał cesarz, przerywając swojemu

— 163 —

adjutantowi. Dosyć, dosyć, nie chcę wiedzieć więcej. I opuszczając cugle poniósł obie ręce do twarzy, mówiąc głosem przerywanym:

— Biedne dziecię!... nieszczęśliwa matka!... o wojno! wojno!

Potem smutnie w dalszą puścił się drogę; jego oficerowie zachowali ponure milczenie. To przykre zwiedzanie pola bitwy, a zwłaszcza spotkanie małego Siéberta, głęboko zasmuciły cesarza. Jenerał major starał się pocieszyć go, wyliczając mu nową sławę, jaką dzień pod Eylau dodał do jego tryumfów.

— Berthier, odpowiedział Napoleon, w podobnych okolicznościach serce głośniejszy mówi aniżeli polityka.

Bulletyn o tej bitwie przedstawia cię przykrych myśli, napełniających duszę

— 164 —

zwycięzcy, gdyż u dołu Napoleon dodał własną ręką:

»Widok pola bitwy pod Eylau zdolny jest natchnąć władców zamiłowaniem pokoju i obrzydzeniem wojny.»

Siébert, godne dziecię, święcie dotrzymało słowa: dnia poprzedniego; kiedy bębnił do attaku, z zapalem starego żołnierza, kula strzaskała mu oba kolana.

— Ognia!... niech żyje cesarz! Zawołał leżąc już na śniegu.

Potem przemówił do starego kanonjera:

— O ! mój ojczy chrzestny, nie zostawiaj mię tak!... Nieprzyjaciele zjedliby mię tutaj; proszę cię zanieś mię do furgonów 20 pułku, żebym mógł uściskać matkę i brata nim umrę.

Artylleryzista wziął go pod pachę i miał go odnieść, gdy w tem kula nieprzyjacielska rozerwała go na dwoje: ojciec i syn

— 165 —

chrzestny zostali na polu bitwy. Nazajutrz dopiero posługacz ambulansu, widząc, że mały dobosz oddycha jeszcze, dał mu napić się kilka łyków wódki, które przywróciły mu trochę sił, wziął go na plecy, poczem spotkał go cesarz.

Biedne dziecię, zniosło, nie wydawszy krzyku, podwójną amputacją, wykonaną przez chirurga batalionowego, i żyło dosyć, ażeby zdażyło otrzymać krzyż honorowy, który Napoleon natychmiast przysłał jego pułkownikowi, żeby mu go oddał, ale nie dosyć, żeby spełnić ostatnią swoją wolę: chęć uściskania matki, zajętej daleko od niego, opatrywaniem drugiego syna, Franciszka, który także został raniony.

\* \* \*

— 166 —

W miesiącu kwietniu 1809 roku, przy szturmie Ratisbony, po uporczywej bitwie, marszałek Lannes został nakoniec panem miasta; w tem jeden z oficerów sztabu, chociaż śmiertelnie raniony, całą szybkością przybywa na małe wzgórze, gdzie się znajdował Napoleon otoczony oficerami, zeskakuje na ziemię, i zaledwie trzymając się na nogach, zbliża się blady, krwią zbrzyzany.

— Najjaśniejszy panie, woła głosem uniesienia, Ratisbona do nas należy! Oto nasze sztandary powiewają na jej murach!.. najjaśniejszy panie, widzisz twoje orły!...

— Pan jesteś raniony? przerywa cesarz.

— 167 —

— Nie, najjaśniejszy panie, jestem zabity i odpowiada bohatersko posłaniec.

I wymówiwszy to słowo podziwu godne, umiera.

\* \* \*

#### Chwała i wino szampańskie.

3 maja 1809 roku, bitwa pod Ebersberg była jakby przedmową zwycięstw. Które wkrótce po niej nastąpić miały. Nazajutrz, 4, Napoleon wszedł do tego miasta, które wczoraj Austriacy wychodząc, podpalili. Wszystkie budowle były w gruzach, a nieszczęśliwi ranni, którzy się tam schronili, zostali popaleni; znaleziono tylko małą liczbę żyjących na wielkim placu, gdzie płomienie nie mogły ich osiągnąć;

— 168 —

ale reszta domów i ulic przedstawiała widok obrzydły. Żeby zakończyć obraz, powiemy, że kiedy kirassyery i artyllerya przeszły przez miasto żeby wyjść na trakt wiedeński, pożar ledwie co zgasł, nie mając już nic do zniszczenia. Wyobraź sobie czytelniku, tych wszystkich ludzi zabitych, na pół popalonych, stratowanych końmi, i kołami dział! Żeby wyjść z tego miasta, które było atakowane przez generała Cohorn, i w którym stracił wielu ludzi, przechodzić należało przez kałużę ciał ludzkich. Nakoniec, żeby pochować to wszystko, używać należało łopat jak do czyszczenia drogi. Spoglądając na ten szkaradny widok Napoleon, rzekł do swoich adjutantów:

— Trzebaby, żeby wszyscy podżegacze wojny byli świadkami podobnego obrazu: poznaliby ile ich projekta ludzkość kosztują.

— 169 —

Ten generał Cohorn, potomek sławnego inżynjera tegoż nazwiska, dowodził w korpusie Masseny, brygadą lekkiej piechoty, złożonej z Korsykanów. Cohorn był człowiekiem wspaniałym, wielkim rozrzutnikiem; lubił grę, dobry stół, bardziej niż wszystko, i bił się z prawdziwie nadludzką odwagą. Na czele swojej brygady, oparł się uderzeniom Austryaków na punkt, który zajmował, i chcąc skończyć z niemi i opanować miasto Ebersberg, puścił się spiesznym krokiem na most, który je bronił, szedł mimo ognia dwunastu dział nieprzyjacielskich, umieszczonych na przeciwnej stronie, i mimo gradu kartaczy i kul ręcznej broni, która go witała z górnych pięter domów miasta. Było tam czem odstraszyć najodważniejszych; ale Cohorn, którego mężstwo zwiększało się w miarę zwiększania niebezpieczeństwa, rozgniewał

— 170 —

się tylko, i mimo oporu, dostał się na drugi brzeg.

Dla tego też cesarz, przechodząc nazajutrz przed frontem tej brygady, z której nawet połowa nie została, po włosku przemówił do niektórych żołnierzy, żeby się zapewnić, czy ich nie zniechęciła poniesiona strata; potem, przybywszy do dowódcy:

— Generale, rzekł do niego surowo, nierozsądnie zaawanturowałeś się wczoraj; nie lubię niepotrzebnych zuchowstw.

— Najjaśniejszy panie, chwała jest jak wino szampańskie, zawraca głowę.

— Ale panie, krew moich żołnierzy nie jest tem czem pieniądze, które wyrzucasz przez okna; nie można dosyć oszczędzać tej krwi. Patrz co zostało z twojej brygady! zaledwie połowa.

— W takim razie, najjaśniejszy panie, zostało ich jeno na jeden raz.

— 171 —

Djabeł nie człowiek! mruknął Napoleon oddalając się, pełen oburzenia i uwielbienia tej ognistej odpowiedzi.

\* \* \*

#### Ludzkość po zwycięstwie.

W trzy tygodnie po sprawie Ebersbergskiej, inna bitwa niemniej uporczywa odbyła się między armią Francuzką i austryacką pod Essling. Wtenczas to Francya i Napoleon ponieśli niepowetowaną stratę, stratę marszałka Lannes, który tam, jak wiadomo, był śmiertelnie raniony. Z obu stron straty były ogromne; Austriacy liczyli dziewięć tysięcy poległych. Promienie słońca następnego poranka zastały Napoleona przebiegającego pole bitwy.

— 172 —

W nocy pozbierano ranionych; po wszystkich miejscach grzebano zabitych. Jakkolwiek straszny to był widok, ściągnął jednak z okolic wielką liczbę ciekawych. Biedni mieszkańcy zajmowali się zbieraniem kul, kirasów i broni, którą widziano tu i owdzie. Wszystkie wioski uciertały z powodu pożaru i łupieztwa. Wieśniacy smutnie chodzili koło biwaków, starając się wyłamać drzwi, okienice, wyciągać kawałki sprzętów, których ogień wojny nie zniszczył zupełnie. Napoleon, mający przed oczami ten obraz żalony, czuł bardzo otaczające go nieszczęście.

Pierwszem jego staraniem, po przybyciu do wioski Ehrsdorn, która mu służyła za główną kwaterę, było wydanie rozkazów wszystkim dowódcom; poczem powiedział:

— Teraz zajmijmy się szpitalami.

Dał rozkaz adjutantom zwiedzenia wszystkich.

— 173 —

Nosili oni gratyfikacje po sześćdziesiąt franków każdemu ranionemu żołnierzowi, i od stu pięćdziesięciu do tysiąca pięćset każdemu oficerowi, stosownie do stopnia; kazał dać znaczniejsze jeszcze generałom będącym w tem położeniu. Przez kilka dni adjutanci Napoleona nie mieli innego zlecenia. Napoleon kazał, żeby do tego wynagrodzenia dołączano wszelkie pociechy. Do podobnych czynności przystępowano zwykle w wielkim mundurze, w towarzystwie kommissarza wojny, lekarzy, chirurgów i dyrektora. Sekretarz szpitala postępował na przodzie z listą chorych; wymieniał ich głośno, równie i pułk do którego należeli, potem kładziono każdemu w głowach dwanaście sztuk pięć-frankowych; tem zatrudnieni byli czterej służący cesarza, w wielkiej liberyi, niosący pełne kosze

— 174 —

srebra i złota. Summy te nigdy nie były mieszczono w rejestrach kassy armii i pochodziły one z własnej szkatuły Napoleona.

Możnaby zebrać szacowny zbiór pamiątek dla historyi i sławy wielkiej armii francuzkiej, z wyrażen wdzięczności tych biednych ludzi: rzewne łzy mówiły dosyć, że umieli czuć tę pamięć cesarza o nich.

\* \* \*

#### Kapitan drewniany.

Napoleon, równie jak wszyscy wielcy ludzie, miał swoje dobre i złe chwile. Znana jest przytomność umysłu tego młodego porucznika, który wyszedł ze szkoły

— 115 —

wojskowej w Saint-Cyr, któremu cesarz podziękował jako kapitanowi, za to, że gdy kapelusze spadł Napoleonowi, ten z największą prędkością podał mu go. Napoleon był wtenczas w dobrym humorze. Teraz przedstawimy go w jednej ze złych chwil.

Na drugi dzień po bitwie, która nie skończyła się tak jak on pragnął, odbył przegląd pułku, który miał w niej udział.

— Kto dowodzi tą kompanią? Zapytuje nagle stając przed frontem wołtyżerów.

— Ja, najjaśniejszy panie, odpowiada oficer wyszedłszy z szeregu.

— Czy pan jesteś kapitanem?

— Nie, najjaśniejszy panie; ale jestem z tego samego drzewa, z którego tacy się robią.

— Dobrze, panie; jak będę formował kapitanów drewnianych, to pomyślę o panu.

\* \* \*

— 176 —

#### Kartofle.

5 lipca 1809 roku, w wilią bitwy pod Wagram, Napoleon, wbrew swojemu zwyczajowi nie spał wcale. Jego adiutanci stali przed nim, chcąc zabezpieczyć cesarza przed ostrością ognia połami swoich płaszczy, ale bądź, że to było zimno, bądź że miał umysł zbyt zajęty wypadkami nastąpić mającemi nazajutrz, chciał widzieć wszystko własnymi oczami; poszedł przeto przejrzeć biwaki, które jego gwardya utworzyła koło jego kwatery. Poszedł sam, o pierwszej godzinie rano, pomimo nocy ciemnej, dżdżystej.

Przyszedłszy do jednego z biwaków, przy którym wszyscy żołnierze spali przy ogniu prawie zagasłym, widząc piekące

— 177 —

się pod popiołem kartofle, powziął myśl zjedzenia jednego, i zaczął go dobywać odsuwając końcem szpady kilka węgli. W tej samej chwili, jeden ze śpiących otworzył oczy, i widząc człowieka zabierającego mu część wieczery, zawołał na niego oburzliwie, nie ruszając się z miejsca:

— Ej! panie *Sans-Gêne!* (bez ceremonii) proszę cię daj pokój naszym kartoflom i szukaj sobie gdzie indziej pożywienia.

— Mój kolego, odpowiedział Napoleon zakrywając twarz kołnierzem swego surduta, jestem tak głodny, że mi nie wzbronisz jednego kartofla.

— A! to co innego jeden to i owszem, a nawet i dwa jeżeli masz apetyt; ale śpiesz się, i lewo w tył... krok podwójny... marsz!

Ponieważ Napoleon nie śpieszył się

— 178 —

usłuchać jego zlecenia, żołnierz powtórzył je raz jeszcze, dodając:

— Nie zmuszaj mię, żebym raz jeszcze powtórzył komendę, bo dziś nie jestem w dobrym humorze.

Napoleon, mimo to, nie przestawał grzebać w popiele; wtenczas żołnierz straciwszy cierpliwość, wstał, rzucił się na marudera i już porwał go za kołnierz, gdy w tem poznał cesarza.

Odmalować osłupienie, wstyd i boleść wojaka byłoby niepodobieństwem. Upadając do nóg Napoleona:

— Najjaśniejszy panie, rzekł ściskając jego kolana, jestem rozbójnikiem! każ mię W. C. Mość rozstrzelać, zasłużyłem na śmierć.

— Milcz, odpowiedział mu Napoleon kładąc mu rękę na usta, pobudzisz twoich towarzyszy, którzy potrzebują spoczynku.

— 179 —

— Nie, najjaśniejszy panie, niech wszyscy wiedzą, że jestem zbrodniarzem, zem się ośmielił podnieść rękę na mego cesarza, i zasługuję na rozstrzelanie...

— Powstań, mówię ci, nie gniewam się na ciebie; ja to źle uczyniłem: byłem uparty; nie powinienem był dotykać się twoich kartofli.

— Ah! najjaśniejszy panie! weź, weź ten, najlepiej upieczony;... nie ten, ten większy... Ah! jakież nędznik ze mnie!... Weź je wszystkie, najjaśniejszy panie! Żołnierz podawał mu jedno po drugich kartofle, które palcami wyjmował z pośród węgli.

Poparzysz sobie ręce nieszczęśliwy! zawołał Napoleon usiłując podnieść go; zatrzymaj swoje kartofle, już nie jestem głodny.

— O! najjaśniejszy panie, niech W. C.

Mość patrzy jak ten jest pięknie pomarszczony. Jestem nic dobrego. Wybacz mi najjaśniejszy panie, wybacz.

Potem, przyciągając połą surduta Napoleona, pokrywał ją pocałowaniem. Cesarz, chcąc zakończyć tę scenę, która mogła stać się zgubną dla tego żołnierza, gdyby miała świadków, rzekł do niego niecierpliwie:

— Ah! czy będziesz milczał czy pozwolisz mi oddalić się... bo będę się gniewał!

A wyrwawszy się, rzekł po cichu:

— Przebaczam ci, nie gniewam się na ciebie; bądź spokojny tak na teraz jak i na przyszłość.

I kładąc mu palec na usta, dodał:

— Ale nie mów nikomu o tem, co się stało.

To powiedziawszy, oddalił się i przybył do głównej kwatery.

Szóstego lipca, o trzeciej rano, wsiadł na konia i przebiegał środkowe szyki armii.

— Trzeba dobrze obejrzeć szachownicę, powiedział do swego sztabu.

O czwartej. w czasie najpiękniejszej pogody, las bagnatów błyszczał na ogromnej płaszczyźnie pod Wagram: liczna poprzedzała artyllerya. To było preludium tej sławnej bitwy, podczas której, jak mówi generał Dupas, cała kolumna austriacka *zniknęła* z pola bitwy, i nigdy się nie dowiedziano, co się z nią stało.

Ta obszerna płaszczyzna, która przed dwoma dniami pokryta była dojrzewającym zbożem, wieczorem była tylko okropną kością, na której nagromadzone trupy broczyły w strumieniach krwi. Rzeź

była tak wielka, że dziesiątego, to jest na cztery dni po bitwie, dobywano jeszcze ze zboża ludzi poranionych, którym ból wołać jednak nie przeszkadzał: *Niech żyje cesarz!* Napoleon ze swojej strony narażał się odwagą młodego żołnierza, i w czasie najwyższego działania, w chwili kiedy rozprawiano się wystrzałami działowemi, jakby wystrzałami ręcznej broni, generał Walter, dowódca grenadyerów konnych gwardyi, zawołał:

— Raz jeszcze powtarzam, najjaśniejszy panie, nie tu wasze miejsce. Oddal się W. C. Mość, albo każę was porwać moim grenadyerom, i zapakować aż do wieczora do furgonów.

— U niego to bardzo łatwo, rzekł do księcia de Neufchatel, oddalając się stępą.

Nazajutrz po bitwie, Napoleon wyszedł z swojego namiotu, wystawionego na polu

boju, i przechadzając się koło biwaków głównej kwatery, sam, pieszo, i rzecz dziwna, bez kapelusza, poufale rozmawiał z żołnierzami swojej gwardyi; twarz jego wyrażała zadowolenie i ufność. O godzinie szóstej wsiadł na konia, i zaczął przeglądać pole dla przekonania się czy zarząd armii wykonał swoją powinność. Było to w czasie żniw, zboża były bardzo wysokie, i nie dostrzegano ludzi leżących na ziemi; tak, że nieszczęśliwi ranni przywiązywali chustki do bagnatów, dając tem znak, żeby im kto przyszedł na pomoc.

Napoleon sam udawał się w każde miejsce gdzie dostrzegł podobny znak, mówił ze znajdującymi się tam rannymi, i powrócił do namiotu, kiedy ostatni z nich został zaniesiony do ambulansu. Nie zatrzymał przy sobie nikogo, i rozkazał wielkiemu marszałkowi, żeby czuwał

nad ambulansami. Przebiegając dalej pole bitwy, Napoleon zatrzymał się przez chwilę na miejscu, zajmowanem dnia poprzedniego przez dywizyą Macdonald'a i Marmont'a. Ziemia tam była porwana kulami i mógł sądzić o ogromnych stratach przez Austriaków poczynionych. Na przestrzeni blisko mili kwadratowej, nie było miejsca niepokrytego trupami lub ranionymi. To formowało góry trupów. Reszta ziemi była zawalona kartaczami jak gdyby gradem po wielkiej burzy.

Napoleon poznał między zabitemi pułkownika, dowódcę pułku *piechoty bojowej*, na którą miał powód się uskarżać. Oficer ten, który z nim odbył wyprawę egipską, dał później dowody niewdzięczności względem swojego wodza, spodziewając się tym sposobem pozyskać względy generała Kleber. Po powrocie

armii egipskiej do Francyi, Napoleon, który dla niego miał wiele przychylności w czasie wyprawy pod Austerlitz, nie zachował dla niego żadnej urazy; ale też nie obdarzył go żadną łaską, jakie zwykle świadczył tym, co mu towarzyszyli, bądź to we Włoszech, bądź w Egipcie. Widząc go poległym, Napoleon przez chwilę spoglądał na niego okiem rozczulonem, i rzekł:

— Przykro mi żem wczoraj nie znalazł sposobności mówienia z nim: byłbym mu powiedział, żem oddawna wszystko zapomniał oprócz jego usług.

Na krzyk: *niech żyje cesarz!* Który wtenczas obił się o jego uszy, Napoleon, odwraca się i spostrzega o kilka kroków od siebie kanonjera szóstego pułku artylleryi, pozbawionego nóg; zbliża się do żołnierza.

— Czy tylko to masz mi powiedzieć? zapytał go uprzejmie.

— W tej chwili tylko to, najjaśniejszy panie, dowiedz się jednak W. C. Mość, żem własną ręką zdemontował cztery działa tych przeklętych *Kajzerlichów* i ta rokosz zapomnieć mi każę o ich podarunku.

Napoleon, wzruszony, ścisnął ręką kanonjera, i powiedział:

— Jeśli wyzdrowiejesz; albo dom Inwalidów, albo pensya.

— Dziękuję, najjaśniejszy panie, ale puszczenie krwi było za nadto mocne, żebym się mógł tego doczekać. Co się tycze pensyi, nie sądzę, żeby ta drogo kosztowała W. C. Mość, bo widzę dobrze, że ostatni raz zejść z warty; i dla tego korzystam z tego co mi zostaje, wołając: *Niech żyje cesarz!*

Nie daleko od tego miejsca cesarz spostrzegł młodego sierżanta karabinjerów, żyjącego jeszcze, pomimo to, że mu kartacz roztrzaskał głowę; ale ponieważ gorąco i kurz zgęściły krew, mógł nic nie ucierpieć, przeto ten młody podoficer mógł mieć

nadzieję przeżycia swojej rany. Napoleon żywo zsiada z konia, bierze go za puls, i chustką obtarłszy mu usta, całe ziemią zawalone, wlał mu kilka kropel wódki. Raniony otworzył oczy, najprzód zdawał się być nieczułym na ten czyn ludzkości; potem wlepił wzrok w cesarza, poznał go; wtedy oczy jego napełniły się łzami; kilka przerywanych słów wyrwało się z jego ust:

— O! mój cesarzu! jakżeż miło umrzeć tak, rzekł usiłując wziąć rękę Napoleona, który mu trzymał głowę; ale śpiesz się

— 188 —

najjaśniejszy panie: są inni co czekają; ze mną już się skończyło.

Ten dzielny karabinier umarł na rękach cesarza.

Napoleon wsiadł na konia, nie wymówiwszy ani słowa, i powrócił do wojska, gotującego się udać w ślad za cofającym nieprzyjacielem; ale zaledwie ujechał kilka kroków, spostrzegł żołnierza, który zdawał się zbliżać do niego; ubiór jego miał w sobie coś dziwnego. Głowę miał owiniętą, jak mameluki gwardyi; raniony miał na ramionach dolman bogato haftowany, zdobyty zapewne na jakim oficerze austriackim, i pantalony szerokie z białego płótna, jakie zwykle w czasie wojny nosili grenadyerowie gwardyi.

— Co znaczy ta maskarada? rzekł Napoleon, marszcząc brwi i zatrzymując

— 189 —

konia w chwili, kiedy ten dziwny człowiek doszedł do niego.

— Najjaśniejszy panie, rzekł żołnierz kłaniając się po wojskowemu, otóż znów jestem.

— Ah! ah! powiedział Napoleon, domyślając się z mowy, że to musi być jeden z uprzywilejowanych wojaków; jak się nazywasz?

— Czy najjaśniejszy pan nie przypomina mnie sobie.

— Jakże chcesz, żebym cię poznał pod tym ubiorem.

— To prawda; muszę być podobny do Turka egipskiego. To te łotry felczery tak mię wystroili wczoraj wieczór, kiedy mi związali głowę, żebym z niej nie zgubił kawałka; ale pomimo rad moich dowódców, wołałem widzieć W. C. Mość dzisiaj w tem miejscu, aniżeli udać się do szpitala;

— 190 —

bo jestem pewny, że to mi większą ulgę sprawi. Już nawet czuję się lepiej na siłach.

— Bardzo mi to miło; ale to wszystko nie mówi mi kto jesteś?

— *Jestem ten co to kartofle...* rzekł żołnierz tonem tajemniczym, spuszczać głos i zbliżając się do cesarza: W. C. Mość wie... onegdaj... to ja...

— Ah! to ty! śpiesznie dodaje Napoleon, żeby przeszkodzić więcej mówić żołnierzowi; więc jesteś ciężko raniony w głowę.

— E! to nic... Jakiś *Lansman* dobył mi kulę i wtenczas wiedziałem o niej, kiedy się schylił, żeby ją podjąć. Ale ja na co gorszego zasłużyłem.

— To nic, uspokój się; cokolwiek spoczynku i kilka wcierań wódki kamforowej...

— 191 —

— Właśnie felczery tak mi radzili. Dla tego też od wczoraj wypilem jej nie mało.

Tu Napoleon nie mógł wstrzymać się od śmiechu ze sposobu, jakim raniony użył lekarstwa; potem przybierając poważną twarz, powiedział ze zwykłą uprzejmością:

— Wiem, że wszyscy postępowaliście jak waleczni. Cóż chcesz?... pieniędzy?

— Pieniądzy.... mam ich za nadto, na wasze usługi.

— A więc chcesz awansu w twoim pułku ?

— Nie głupim! już jestem na to za stary. Od trzynastu lat zbutwiałem pod szewronami. Oto chciałbym najjaśniejszy panie!... bo to potrzeba mi... to...

A ponieważ grenadyer zbyt się wahał, lub zbyt był skromny, żeby

— 192 —

wyznać cel swoich życzeń, Napoleon starał się ośmielić go temi słowy:

— No, wytłómacz się, mów, pilno mi, czekają na mnie.

— Oto, najjaśniejszy panie chciałbym tego świecidełka na piersiach, odrzekł żołnierz, potem odetchnął jakby się pozbył wielkiego ciężaru.

— Ah! rozumiem... nie jesteś wymagający!... ale czyś na to zasłużył?

— Czym zasłużył... jakie głupstwo!...ale, najjaśniejszy panie w sześciu bitwach staram się ile możliwości zginąć, i nie mogę dostąpić tego zaszczytu: Austerlitz, Jena, Eylau, Friedland i wczoraj z temi *Lansmanami* co to mają kaszkiety jak głowy cukru, a pałasze długie na dwa łokcie!... Czym zasłużył?...

— Dobrze! dobrze! śpiesznie przerwał Napoleon; ponieważ widzę żeś zasłużył;

— 193 —

masz! ale przyrzeknij mi, że natychmiast udasz się do szpitala na kurację.

Napoleon, mówiąc te wyrazy, odwiązał swój krzyż i dał go żołnierzowi.

Ten, odbierając go z rąk cesarza, upadł na kolana i poniósł go do ust, potem do serca, nie mogąc nawet, skutkiem radości i uniesienia, znaleźć jednego wyrazu na podziękowanie. Co się tycze Napoleona, przyzwyczajonego do podobnych scen, korzystał z uniesienia żołnierza i ruszył w dalszą drogę; jednak, będąc już z trzydzieści kroków, odwraca głowę, a spostrzegłszy grenadyera na tem samem miejscu, z wyciągnionemi do niego rękami, dał mu ręką przyjazny znak, jak gdyby chciał powiedzieć: Do widzenia, zobaczymy się jeszcze.

Żołnierz powstał, i na nowo pokrył pocałowaniem krzyż, na który spoglądał

— 194 —

z upojeniem; potem mruknął ponuro, i jak gdyby pod ciężarem przykrego; wyrzutu sumienia:

— A ja odmówiłem mu jednego kartofla!!...

\* \* \*

#### Lekcja walca i grzeczności.

Było to w miesiącu marcu 1810 roku; codziennie spodziewano się przybycia córki cesarza austriackiego. Maryi Ludwiki, którą Napoleon już zaślubił w Wiedniu. Był w salonie z swoim szwagrem, Muratem, królową Hortensyą i księżniczką Stefanią, jego siostrzenicą; ta ostatnia zapytała go czy umie tańczyć walca.

— Na honor, odpowiada Napoleon,

— 195 —

cokolwiek zadziwiony tem zapytaniem, nigdy nie mogłem skończyć pierwszej lekcji, ponieważ po dwóch lub trzech wykręceniach się dostawałem jakby zawrotu głowy, który mi przeszkadzał kończyć; ale na co to pytanie, Stefanio?

— Najjaśniejszy panie, odpowiedziała księżniczka, szkoda że W. C. Mość nie umie tańczyć walca; Niemki szaleją za tym tańcem; cesarzowa niezawodnie podziela gust swoich rodaczek, a ponieważ nie może mieć innego kawalera jak W. C. Mość, będzie więc pozbawiona wielkiej przyjemności.

— Ah! mój Boże! masz słusność Stefanio, muszę się koniecznie nauczyć walca. Ale jak tu zrobić?... Gdybyś była tak dobra i chciała mię nauczyć, ty co tak tańczysz jak sylfida? codzień dasz mi jedną lekcję. No, zacznijmy natychmiast,

— 196 —

jeżeli chcesz; będziesz mogła sądzić o moich zdolnościach.

I Napoleon wstał, objął kibić swojej siostrzenicy, i tańczy z nią kilka kroków, nucąc sławny walc: *Królowa Pruska*, ale zaledwie trzy razy wykręcił się niezgrabnie po salonie, w głowie mu się zawróciło i musiał oprzeć się o kolumnę, żeby nie upaść. Murat pomógł mu usiąść, i rzekł z uśmiechem:

— Najjaśniejszy panie, dosyć to nas przekonywa, że W. C. Mość będzie złym uczniem. W. C. Mość stworzona jest do dawania lekcyi, nie zaś do pobierania takowych.

— Na honor, mój drogi, mówi zadyszany Napoleon, obcierając czoło, będę z moją żoną zawsze tańczył *monaco*, to nie tak trudne jak walc. Prawda, że to

— 197 —

monotonne, ale ona będzie musiała poprzestać na tem.

Napoleon własnymi oczami chciał widzieć podarunki ślubne dla nowej cesarzowej przeznaczone. Wszystkie stroje, kwiaty, materye, koronki, kosztowności, za jego rozkazem zostały przyniesione do Tuilleries, i rozpostarte przed jego oczami, w dawnym gabinecie Józefiny; i w jego obecności miały być zapakowane. W chwili kiedy jeden z pakujących kładł do skrzyni kilka par atlasowych trzewików, Napoleon wziął jeden, i ciekawie przypatrzywszy mu się:

— Oto, zawołał, trzewik wiele obiecujący! Zdaje mi się, że niewiele znajdzie się tak pięknych nóżek.

Potem, z lekka uderzając podeszwą jednego ze swoich paziów, który z uśmiechem wyciągnął głowę, żeby widzieć

— 198 —

drobną nóżkę swojej władczyni, rzekł do niego, na pół wesoło, na pół poważnie.

— Masz!... oto za twą zbytnią ciekawość i śmianie się z tego co ja powiem.

\* \* \*

#### Naiwność.

Napoleon nie miał stałej godziny ani do kładzenia się, ani do wstawania. Czasem o czwartej rano był na nogach. Ministrowie powinni byli znajdować się w Tuilleries o szóstej godzinie rano, w fecie, a o ósmej w zimie. Jeden tylko Decrès minister marynarki, który za czasów restauracji został zabity przez swojego

— 199 —

służącego, nigdy nie przybywał na oznaczoną godzinę. Chociaż Napoleon lubił go, lajał jednak skoro zbyt długo dał czekać na siebie.

— Czy jesteś chory, mości książe? Ostro zapytał go.

— Nie, najjaśniejszy panie.

— W istocie, masz pan chorobę, z którą przyszedłeś na świat: lenistwo.

Po małżeństwie z Maryą Ludwiką, zaprowadził młodą cesarzową do Cherbourg. Wykonywano wówczas ważne prace w tym porcie. Napoleon, jednego rana wsiadł na statek z ministrem marynarki dla zwiedzenia niektórych robót. W czasie przepływu poufale rozmawiał z starym marynarzem, któremu, jako retret, dał miejsce kapitana portu. Przybywszy w miejsce gdzie zrobiono ogromną służę, Napoleon

— 200 —

zapytał się starego marynarza co myśli o tej służce.

— Myślę najjaśniejszy panie, że to jest ogromna ilość pieniędzy bezpożytecznie wrzucona w wodę.

— Jak to? Wszak podobna służa będzie dostateczną dla wzbronięcia wylewów? Zapewniano mię o tem.

— Najjaśniejszy panie, ten kto to powiedział W. C. Mości, jest... głupiec.

Na te słowa Napoleon, z żywością obracając się do ministra marynarki:

— Słyszysz go, mości książe. Rzekł z uśmiechem, ja mu tego powiedzieć nie kazałem.

\* \* \*

— 200 —

#### Trajedyja: Mahomet.

Trajedyja *Mahomet II*, pana Baour-Lornian, była pierwszy raz przedstawiona w *Teatrze Francuzkim*, dnia 9 marca 1811 roku, to jest na kilka dni przed narodzeniem króla rzymskiego. Talma, grający główną rolę, spóźnił jej wystawienie. Pomimo wzniosłości swojego talentu, miał on jedną manię, zastępowania myśli autora, swojemi; a między temi wyszukiwał zawsze takich,

któreby zdolne były wyrazistszą uczynić osobę, którą on miał przedstawiać. Czasem dawał doskonale rady; ale trzeba się było strzedz tysiącznych poprawek przez niego proponowanych, które zawsze miały na celu zmianę pierwiastkowego planu sztuki. Sztuka była

— 202 —

czytana w komitecie pod mało znacznym tytułem *Eronym*, nazwiska głównej osoby w sztuce; ale Talma, przedstawiający rolę Mahometa, chciał żeby tragedia nosiła to imię; autor ustąpił przez delikatność. Ten nowy tytuł zmuszał do wykazania wszystkich stron historycznych dzikiego zdobywcy, a w początkowym sztuki zarysie, był on podrzędnym. Z tej małej na pozór zmiany, wynikły tysiączne zamieszania w całym ułożeniu sztuki.

Nakoniec po sześciu miesiącach prób i przerobień, dzień pierwszego przedstawienia przez afisze został ogłoszony. P. Baour rano poszedł do teatru, i dowiedział się od aktorów, że z wielkiem ich niezadowoleniem, sztuka w tym dniu przedstawioną być nie mogła, ponieważ Talma nie był kontent z swojego ubioru. Sądź czytelniku o rozpacz autora! Talmy w teatrze

— 203 —

nie było, mieszkał on wtenczas przy ulicy Sekwany, w dawnym pałacu Mirabeau; p. Baour zobaczył go otoczonym czterema osobami, w których poznał krawców; i spostrzegł na stole, w środku pokoju stojącym, dolmany, tuniki, szale, turbany, nie licząc ogromnej liczby bród. Zobaczywszy autora, zawołał:

— *Ah! mój kochany!* jestem bardzo kontent że pana widzę.

— Przeszedłem się dowiedzieć, czy nagła słabość nie przeszkodziła panu grać dzisiaj; ale widzę, w twojej twarzy i w dźwięku głosu, który usłyszałem na schodach, że pan masz się doskonale. Jakżeż mi pan usprawiedliwisz odroczenie, które mi się wydaje bez przyczyny.

— Jaktó, bez przyczyny! Odpowiedział mu; ale jeszcze nie dobrałem ubioru. Mam większą część, ale najważniejszej mi

— 204 —

brakuje części, która powinna najwięcej charakteru nadać Mahometowi: słowem, brody!

— Ale zdaje mi się, że pan masz ich tu aż za nadto.

— Oto piętnaście, które mi Dublin kazał próbować; żadna z nich nie jest taką, jakąbym mieć chciał.

Tu starał się wszelkimi siłami przekonać pana Baour, że bez przyzwoitej brody nie mógł godnie przedstawiać zwycięzcę Bizancyi. Naprózno autor zaklinał go; w ośm dni dopiero potem, wystąpił w brodzie, która mu przypadła do gustu.

Pierwsze akta zostały przyjęte z największą przychylnością; ale w piątym akcie, nieszczęśliwe położenie, w którym Mahomet wychodził z swego charakteru, powszechnie zostało źle przyjętem. Pan Baour oświecony światłem sceny, pomimo

— 205 —

miłości własnej pisarza, uznał, że publiczność miała słuszość, i po zapadnięciu kurtyny. udał się do sali, gdzie się zgromadzali artyści w zamiarze odebrania natychmiast swojej sztuki z repertoaru. Wszyscy się wzbraniali, a szczególnie Talma. Ponieważ jego broda zyskała zupełne powodzenie, łatwo się domyślić można, że chciałby ją pokazać raz jeszcze. Sztuka więc została zapowiedzianą na trzeci dzień, ale Komedia Francuzka otrzymała rozkaz grania jej w Tuilleries.

Maryja Ludwika, natenczas w ostatnich miesiącach ciąży, nie mogła wychodzić; uszykowano więc na prędcę w salonie, przyległym jej apartamentom, mały teatr, na którym zaledwie tylko trzech artystów pomieścić się mogło, i Talma, Mahomet wszedł na scenę w towarzystwie jednego tylko janczara. Autor, w kulisach był

— 206 —

obecny temu niby przedstawieniu, które Talma nazwał: *czytaną w ubiorach próbą*. Towarzystwo, jak domyślać się można, nie było licznem: składało się jedynie z cesarza, cesarzowej, ministrów, oficerów służbowych, dam honorowych i kilku członków ciała dyplomatycznego. Sztuki słuchano w zupełnym milczeniu, jakiego wymagała etykieta oziębiająca grę artystów.

P. Baour o ile możności zmienił ten nieszczęśliwy akt piąty. Jedenaście razy grano *Mahometa*, i ośmnaście razy to samo położenie, jakkolwiek zmienione, wywołało też same oznaki niezadowolenia. Od tej chwili, autor już więcej o niej nie myślał, i wyraźnie oświadczył artystom komedyi francuzkiej, że jego sztuka już nie należy do repertoaru.

W sześć tygodni po tem, p. Baour

— 207 —

dostał wezwanie, żeby się stawił w pałacu; Napoleon kazał go zawołać na godzinę dziesiątą rano. Domyślić się można, że autor był punktualnym w stawieniu się na umówioną godzinę, P. de Rémusat, jako pierwszy szambelan, intendent widowisk dworskich, przyjął go i wprowadził do salonu, umeblowanego z wielką wytwornością. Mury były zdobne obrazami nowej szkoły; można tam było widzieć *Ossyana* i *Belizaryusza*. Napoleon siedział przed małym stolikiem wykładanym porcelaną; trójkanciaste nogi tego stolika były bardzo pięknie wyrabiane. Widziano na tym stole kilka potraw; twarz cesarza miała wtenczas wyraz prawie jeniałny; prawda, że wtedy znajdował się u szczytu sławy i potęgi. Milczała przed nim hołdująca Europa; syn, w kolebce ubrany w królewską purpurę, urodził się na utwierdzenie

— 208 —

jego dynastyi. Tyle szczęścia wypogodziło jego czoło, zwykle poważne, zakłopotane niekiedy. Postrzegłszy pana Baour, rzekł krótko i decydująco, jak to zwykle czynił.

— Czytałem twoją tragedję: szkaradna.

Gdyby ten ostatni nie wiedział, że Napoleon, sprawiał sobie złośliwą przyjemność przestraszając najprzód tych, których kazał wołać, początek tej rozmowy był zdolny zmieszać go zupełnie; milczał przeto, Napoleon mówił dalej:

— Twój Mahomet jest głupiec; zakochał się w zalotnicy, która go nie chce. Podobny człowiek, który ścinał głowy swoim kochankom, nie powinien mieszać się w intrygi serajowe: jest to czynić go małym; umieścić go należało w kole politycznem. Corneille sam tylko umiał kazać mówić i działać królom; wy, poeci,

— 209 —

wy na tem się nie znacie. Mienicie się wielkimi ludźmi dla tego, że umiecie pisać wiersze. Wiersze są tylko haftem materyi dramatycznej.

P. Baour słuchał z uwagą, i nie mógł nic odpowiedzieć, ponieważ nie zostawiono mu na to czasu.

— Sceny miłosne już są przestarzałe w trajedyi, mówił dalej; nasza epoka wzrasta; wszystko z nią rosnać powinno. Dla czego odebrałeś sztukę? ciągle ona tłumy sprowadzała.

— Tak, najjaśniejszy panie; ale ciągle szemrano na zakończenie, odpowiedział nakoniec p. Baour.

— Nie mówisz wszystkiego; zląkłeś się *Gazety cesarstwa* (dzisiejszego *Journal des Débats*), boisz się Geoffroy. Jest to pies, który zajadłe szczeka; należało, jak inni twoi spółtowarzysze, rzucić miodowe

— 210 —

ciastko w paszczę cerbera; twój Mahomet, pomimo wad, miałby dwadzieścia przedstawień więcej. Ta liczba stanowiłaby powodzenie: ty sam spowodowałeś swój upadek.

Napoleon, wymówiwszy te wyrazy, kończył wypróbować małą porcelanową filiżankę; potem wstawszy, przeszedł się cokolwiek po salonie, a powróciwszy do pana Baour, rzekł do niego z przychylnością:

— No, dosyć długo dręczyłem cię; musiałem zranić twoją langwedocką miłość własną; ale dzielnie wytrzymałeś szturm, a ja to lubię. Mówiłem z Talmą o twojej sztuce; przeczytał mi kilka bardzo ładnych scen: co się tycze zasług poezyi, wszyscy ją chwala. Teraz co myślisz uczynić?

— Ponieważ W. C. Mość pozwala, powiem, żem się jeszcze nie poddał.

— 211 —

— Brawo! rzekł Napoleon z uśmiechem.

— Moim zamiarem jest, nie poprawić, ale zupełnie przerobić moje dzieło. Oświecony doświadczeniem, starać się będę, żeby się podobało monarsze.

— Czy znów przedstawiś Mahometa zakochanym?

— Tak, najjaśniejszy panie, osnowa tego wymaga.

— Ale przynajmniej nie dawaj mu rywala; bo gdyby go miał i odkrył, natychmiast kazałby go udusić, i twoja sztuka byłaby skończona. Powtarzam ci, trzeba ci się więcej opierać na historyi niż na romansie; trajedya powinna być odnowioną, potrzeba nam pomysłów obszerniejszych: wiersze to rzecz podrzędna.

Twarz Napoleona, kiedy mówił te wyrazy, stała się poważną i surową, i znakiem głowy pożegnał p. Baour.

— 212 —

Ale kiedy cesarz przechodził do sąsiedniego pokoju:

— Najjaśniejszy panie, rzekł autor, czy mogę ośmielić się prosić W. C. Mość o pozwolenie odczytania mojego dzieła po przerobieniu?

— Chętnie, odpowiedział Napoleon i wyszedł.

P. Baour przyszedłszy do siebie, napisał powyższą rozmowę, żeby nie zapomnieć jej szczegółów. Takim to sposobem Napoleon zachęcał pisarzy, jednając im zaszczyt wstępu do siebie: autor Mahometa nie raz tylko dostąpił tej łaski. Więcej jak trzydzieści lat upłynęło od tej epoki. Sztuka przerobiona, osnowana na obszerniejszym planie, i po większej części według sprawiedliwych uwag Napoleona, czeka w biurku autora i czekać będzie

— 213 —

długi czas nim panowie artyści Komedyi Francuzkiej zdecydują się poddać to dzieło pod sąd publiczności.

\* \* \*

Szczęście niekiedy przybywa we śnie.

Napoleon nie mógł cierpieć, żeby miał czekać na kogo, i żeby uniknąć tej niedogodności, chciał mieć wszystkich pod ręką. Pewnego wieczora, po znacznej pracy z Réalem, rzekł do tego ostatniego:

— Ale! czy masz ty wieść?

— Tak, najjaśniejszy panie, mam i dosyć piękną, o pięć mil od Paryża.

— To za daleko: co chwila mogę cię potrzebować. Nie można przecie posyłać

— 214 —

po ciebie o pięć mil; trzeba, żebyś kupił inną bliższą, i to natychmiast.

— Najjaśniejszy panie, nie mogę kupić innej, nim tę przedam; W. C. Mość wie bardzo dobrze, że w jeden dzień podobnej rzeczy zbyć nie można.

— Nie rozumiesz mię; ja ci nie każę przedawać twojego domu, przeciwnie każę ci drugi kupić. Pojmuję to bardzo dobrze, że po tak trudzącej jak dzisiejsza pracy, potrzeba ci odetchnąć świeżem powietrzem, potrzeba ci rozrywki ale o jedną miłą, o dwie, żebyś w kwadrans był u mnie: kup więc inną wieść, to rzecz główna.

— Najjaśniejszy panie, rozumiem zupełnie słowa W. C. Mości; ale podług powszechnej zasady, kto chce kupować, musi mieć pieniądze.

— Jak to, czy pan nie masz dobrej płacy?

— 215 —

— Najjaśniejszy panie, zaszczytam się wprawdzie wspaniałością W. C. Mości, ale nic nie oszczędzam.

— I źleś uczynił. W końcu, rób jak chcesz, układaj się jak ci się podoba, ale kup sobie inną wieść, kup ją natychmiast, jutro, chcę tego.

Nazajutrz, po skończeniu posiedzenia rady stanu, na której Napoleon prezydował. a Réal zasiadał:

— I cóż! zapytał go cesarz, znalazłeś nakoniec inną wieść?

— Najjaśniejszy panie, nie brakuje wsi, ale brakuje pieniędzy.

— Hm! nic nie szkodzi: szukaj.

— Najjaśniejszy panie, to na próżno. W. C. Mość wie tak dobrze jak my, że dzięki wam, w tych czasach dziedzictwa nie nabywają się darmo.

— 216 —

— Kto wie? szukaj zawsze, mówię ci, dobre myśli czasem we śnie przychodzą.

Nazajutrz, Réal przebudziwszy się, otrzymał assygnacją do skarbu na czterekroć sto tysięcy, wypłacalną natychmiast i jedynie przeznaczoną na kupno domu wiejskiego. Takim to sposobem ten radca stanu został właścicielem rozkosznej własności Boulogne, którą dziś posiada p. baron de Rothschild.

\* \* \*

Kaprys.

Na balu danym przez miasto Paryż, z przyczyny urodzenia króla rzymskiego, na której znajdował się Napoleon, była obecna dama, która niedawno była mu

— 217 —

przedstawioną w Saint-Cloud. Cesarz zatrzymał się przed nią i rzekł:

— Pani, mówiono mi, że pani jesteś bardzo uczoną, że mówisz kilku językami.

— Najjaśniejszy panie, mówię tylko dwoma, odpowiedziała ze drżeniem.

— Jakimi? mówił dalej cesarz.

— Włoskim i angielskim.

— Angielskim, wykrzyknął Napoleon, czyniąc prawie poruszenie pogardy. I na co to się pani przydało?... Włoski, to rozumiem; ten język stał się teraz bratem naszego; ale angielski!.. Czy pani mówisz dokładnie temi językami?

— Tak, najjaśniejszy panie!

— Otóż to jest więcej niż potrzeba, żeby przywieść męża do wściekłości, odpowiedział Napoleon, oddalając się.

\* \* \*

— 218 —

Los.

W Compiègne, gabinet cesarza, tak jak w Saint-Cloud, znajdował się na dole. Pewnego dnia, będąc przy oknie, Napoleon rozmawiał z panem de Montalivet ojcem, ministra spraw wewnętrznych. W tym spostrzegł w ogrodzie króla rzymskiego, niesionego przez mamkę i w towarzystwie guwernantki, pani Montesquieu. Napoleon dał znak tej ostatniej, żeby skierowała przechadzkę ku niemu. Pani Montesquieu uczyniła to i wkrótce podała mu syna. Napoleon wziął go na ręce, pieścił, sam poprawił małą czapczkę z zielonego aksamitu złotem haftowaną, którą król rzymski zawsze miał na głowie; potem uściśnawszy go ostatni raz:

— 219 —

— Możesz pani kontynuować przechadzkę, rzekł do pani Montesquieu głosem najprzychylniejszym.

A skoro grupa oddaliła się cokolwiek, Napoleon ścisnął rękę pana de Montalivet dodając:

— Oto dziecię, które byłoby daleko szczęśliwsze, gdyby się urodziło człowiekiem prywatnym, ze stu tysiącami liwrow rocznego dochodu.

— Dla czego, najjaśniejszy panie ?

— Ponieważ kiedyś wielki będzie miało ciężar do noszenia na ramionach.

Ten, który widział, w wyniesieniu syna, tylko przedmiot obawy, nie mógł zapewne doznawać radości, jakiej doznaje ojciec myśląc o przyszłym losie syna. Oplakany zgon tego księcia, zmarłego w kwiecie wieku, zdala od kraju, w którym czterdzieści milionów ludzi witało jego urodzenie,

— 220 —

usprawiedliwiło, innym wprawdzie sposobem, smutne przeczucia miłości ojcowskiej. Gdyby był człowiekiem prywatnym, nie byłby wygnanym z swojej ojczyzny, i może powietrze krajowe uchroniłoby go od słabości, którą ostrość powietrza uczyniła nieuleczoną.

\* \* \*

Niespodziane śniadanie.

Napoleon, w czasie kampanii w zimie, co rano jeździł konno. Zwiedzał przednie straże, mając za sobą jednego tylko żołnierza z przybocznej straży. W południe zsiadał z konia; ci którzy mu towarzyszyli, rozniecali ogromny ogień i robili mu

— 221 —

schronienie ze słomy i suchych gałęzi. W tem to miejscu odbierał sprawozdanie marszałków i rozmaitych dowódców, i tam to wydawał rozkazy. Mameluk Rustan przygotowywał śniadanie i kawę grzał przy ogniu biwaku w srebrnym naczyniu. Napoleon, w czasie tych wypoczynków, miał zawsze przy sobie dwunastu z przybocznej straży, uzbrojonych w karabiny i bagnety. Pewnego dnia spojrzął na jednego z nich: jego piękna postawa, ostra mina i przyjemna twarz, chociaż cokolwiek błada i bez śladów brody, zwróciły na siebie uwagę cesarza.

— Kto cię umieścił w mojej gwardyi? zapytał go.

— Sama W. C. Mość, bez wahania odpowiedział młody piechur.

— Nie rozumiem; wyjaśnij mi.

— W. C. Mość wydał dekret, dozwalający

— 222 —

młodym ludziom szlacheckich rodzin, w osmnastym roku życia służyć w gwardii W. C. Mości za opłatą trzystu franków pensji; posiadam te warunki, i jestem na swoim miejscu.

— A jednak jesteś bardzo mały.

— Najjaśniejszy panie, pełnię służbę, jak gdybym był wielkim.

— Jakże ci się podoba to rzemiosło?

— Czasem łagodnym, częściej przykrem, ale szczęście jakiego doznaję codziennie widząc W. C. Mość, osładza wszystkie przykrości i wesoło znieść każę niedostatek.

— Byłeś już w ogniu?

— Tak, najjaśniejszy panie; byłem przy przejściu Bugu.

— W istocie, było tam gorąco; biłeś się?

Na to pytanie młody żołnierz zarumienił

— 223 —

się aż po uszy, i nic nie odpowiedział, spuszczać oczy.

— Rumienisz się i nic nie odpowiadasz, mówił znów Napoleon: wszak zgadłem?

— Tak, najjaśniejszy panie, przyznaję, bałem się; ale to trwało tylko przez jedną chwilę.

— Pociesz się, było tam więcej takich.

Potem dodał:

— No, jesteś zuch; jak wszyscy zapłaciłeś daninę; będziesz śniadał ze mną; czy ci to sprawi przyjemność?

— Zapewne, najjaśniejszy panie! zawołał młody żołnierz z wybuchem radości, jaką w nim wznicił podobny zaszczyt.

I położył karabin przy sobie.

Wtenczas Rustan, z uszanowaniem, które byłoby okazał marszałkowi cesarstwa, podał mu na srebrnym talerzu kawałek szynki. Piechur zjadł go z apetytem

— 224 —

właściwym jego wiekowi, zaostrzonym kilkodziową dyetą; i skoro mameluk nalał mu chambertynu w złożony kubek, Napoleon rzekł do niego z uśmiechem:

— Ah! kontent jesteś chłopcze, że ci podano w kubku, ponieważ nie widać ile pijesz: jestem pewny, żeś go kazał napełnić.

— Aż po sam brzeg, najjaśniejszy panie, przyznaję; ale to dla tego, żeby lepiej pić za zdrowie W. C. Mości.

— *Lepiej!*... odrzekł Napoleon z uśmiechem; chciałeś powiedzieć więcej.

I Rustan, za znakiem danym przez cesarza, powtórnie napełnił kubek, który młody żołnierz wypróżnił za jednym pociągnięciem.

W czasie tego niespodziewanego śniadania, Napoleon ciągle rozmawiał z młodym żołnierzem, ten zaś zawsze odpowiadał

— 225 —

dowcipnie i stosownie. Po kawie Napoleon zapytał o nazwisko.

— Najjaśniejszy panie, nazywam się Laurain,

— No, panie Laurain, otóż zabraliśmy znajomość między sobą. Prowadź się dobrze, pomyślę o twoim posunięciu, skoro czas będzie po temu.

Piechur podziękował, wziął karabin i stanął na warcie.

Po skończonej kampanii gwardya powróciła do Paryża. Napoleon pojechawszy na polowanie do Trianon, chciał widzieć piechurów, którzy od tego czasu byli odłączeni od jego starych strzelców gwardii i stali garnizonem w Wersalu. Skoro zbliżył się do szwadronu, rzekł do dowódcy Francq:

— Zawołaj pan z szeregu żołnierza Laurain, z którym śniadałem w Prusach.

— 226 —

— Najjaśniejszy panie, odpowiedział dowódca, W. C. Mość kazała go przenieść jako oficera do pułku huzarów, który w tej chwili nie wiem gdzie się znajduje.

— Dla czego przedstawiono go do awansu? To było jeszcze dziecko.

— Najjaśniejszy panie, własną ręką zabił dwóch grenadyerów nieprzyjacielskich, widział to cały pułk.

— To co innego, odrzekł Napoleon; dobrze uczyniono i on także. Zobaczę się gdzie indziej.

\* \* \*

Mularz.

W początku roku 1813, po przegranej w Rosyji, Napoleon, chcąc sam dowiedzieć się o duchu panującym między

— 227 —

ludem przedmieść, postanowił zwiedzić wszystkie, zaczynając od przedmieścia Saint-Antoine.

Pewnego więc dnia, w towarzystwie jednego tylko adjutanta (wielki marszałek był słaby) wsiada do fiakra i każe się wieźć na plac Bastylli; tam zsiada i wchodzi na ulicę Charonne. Przybywszy do jej końca, zatrzymuje się, chcąc przypatrzeć się robocie mularzy; pracujących nad budową domu; potem spostrzega jednego, który stoi niewzruszony, jakby osłupiał przed nim.

— Czy poznajesz mię? krótko zapytał mularza, z wolna zbliżając się do niego.

— O! mój cesarzu!... zawsze! Wyjąkuje ten człowiek, po wojskowemu podnosząc prawą rękę do czoła, gdy tymczasem z lewej wypuścił narzędzie, którego używał.

— Ja także poznaję cię! mówi Napoleon.

— 228 —

Nazywasz się Grzegorz Boivin; byłeś w drugim pułku strzelców pieszych mojej gwardii; dwa razy byłeś raniony pod Essling; kazałem ci dać krzyż, na przedstawienie twego pułkownika. Wkrótce potem kazałem cię przyjąć do domu Inwalidów... Dla czego dzisiaj widzisz cię tu?

Grzegorz stał jak posąg i nie wymówił ani słowa.

— Wypędzono cię ztamtąd, wszak prawda?... Za co?

Ta sama nieporuszoneść, to samo milczenie ze strony Grzegorza.

— Nie przypominasz sobie?.. No, to ja ci powiem: wiesz, że mam dobrą pamięć; jednego rana, narobiwszy głupstw, zacząłeś mówić głupstwa.

— Najjaśniejszy panie! z żywością przerwał Grzegorz dumnie podnosząc głowę, nie były to głupstwa.

— 229 —

— Jak to! nie wołałeś jak waryat: *Niech żyje Rzeczpospolita!* spiwszy się z innemi łotrami domu Inwalidów!... Na chrzcie dobre nadano ci imię.

— Ah! najjaśniejszy panie, przypomniałem sobie, że byłem ochotnikiem w 93 pułku. Wtenczas, ponieważ dnia poprzedniego trochę popłukałem sobie gardło, nazajutrz krzyczałem:...

— *Niech żyje Rzeczpospolita!* mówię ci. I cóż to znaczy, *twoja Rzeczpospolita?* Czy to jest podobne do czego? Wypędzono cię, dobrze uczyniono: otrzymałeś to, na co zasłużyłeś.

— Nie przeczę najjaśniejszy panie; ale W. C. Mość przyzna także, że to przykro, kiedy kto kocha W. C. Mość jak ja, kiedy się bił jak ja, kiedy ma żonę i dzieci jak ja, widzieć się na bruku bez chleba, dla tego

— 230 —

tylko, że się wlało w głowę jedną szklanką za wiele.

Mularz, wymawiając te wyrazy, rozczulił się; Napoleon, wzruszony także, powiedział:

— Ah! masz dzieci? A, to co innego. Dla czegoś mi o tem wcześniej nie dał znać! Ile lat ma najstarszy?

— Mam ich dwóch najstarszych, to jest są bliźniaki i po przyszłym roku będą popisowi.

— Dobrze. Coś zrobił z krzyżem?

— Krzyż, powtarza Grzegorz żywo odpinając kaftan i pokazując kawałek wstążki, koloru trudnego do opisania, który uderza silną dłonią; mój krzyż! nie ma go z powodu koniecznych reparacy i połogu pani Grzegorzowej; ale wstążka jest ta sama, którą mi pułkownik przywiązał na

— 231 —

paradzie. Jednak już wysłużyła swój czas i potrzebuje odnowienia w magazynie.

Cesarz, spojrzawszy na Grzegorza z zadowoleniem, wziął piętnaście napoleonów złotych z rąk swego adjutanta, i kładąc je w ręce mularza, powiedział:

— Masz, zapłać za konieczne reparacje krzyża, który, jak mi się zdaje, nie u jublera się znajduje, i wypij z kolegami, a skromnie, rozumiesz? A gdyby ci przyszła chętka krzyczeć, to krzycz: *Niech żyje Francya!* Tym razem znajdziesz echo, i nikt ci tego nie zgani. Jutro przyjdź do Tuilleries, zażadasz rozmowy z adjutantem; powiesz odźwiernemu, że to ode mnie, a pozwoli ci wejść. Bądź zdrow, zostań tu, nie chcę, żeby twoi towarzysze wiedzieli kto jestem.

Na drugi dzień, Grzegorz Boivin otrzymał rozkaz powrócenia do domu Inwalidów,

— 232 —

ponieważ nie miał płacy, a cesarz nie chciałby, żeby jeden z jego walecznych żołnierzy umarł z głodu, za to jak sam powiedział: że mu zdarzyło się po pijanemu *gadać głupstwa*, w których sensu nie było.

\* \* \*

Dwa najpiękniejsze w życiu.

Cesarzowa Józefina miała w sercu wszystkie skarby miłości macierzyńskiej. To uczucie, posunięte w niej do najwyższego stopnia, naturalnie ściągało się do dzieci; dla tego też miała ich dużo zawsze koło siebie, i często je wypytywała i rozdawała piękne podarunki. Nie było tego tygodnia, w którymby sama nie kupowała

— 233 —

rozmaitych zabawek, jakie im sama rozdawała, dołączając dobrą radę, udzielając zbawienną naukę. Ileż to razy widziano budoar cesarzowej podobnym do magazynu cacek na bulwarach! Ale szczególnie w nowy rok trzeba było widzieć ten piękny kram. Wchodząc do wąskiego gabinetu służącego za przedpokój sali łazienkowej, zdawać się mogło, że wchodziemy do jednej z galeryi Alfonsa Giron; widać tam było nagromadzone rozmaite zabawki, materyi, porcelany i worki cukierków, lalki większe aniżeli dziewczęta, które je dostać miały; dobosze i trębacze znajdowali się około pułków lekkiej kawalerii ołowianej i pistoletów czekoladowych.

W wilią 1 stycznia 1805 roku, Józefina, wiedząc, że na drugi dzień ani na chwilę opuścić nie będzie mogła cesarza z przyczyny wielkiego przyjmowania w Tuilleries,

— 234 —

wydała rozkazy pani de la Rochefoucault, swojej damie honorowej, ażeby powiedziała osobom, które przyjdą z dziećmi wieszować jej nowego roku, żeby przyszły na drugi dzień do Saint-Cloud, dokąd się uda naumyślnie.

Ten pamiętny dzień przybył wkrótce; i od samego rana mniemać można było, że cesarzowa była utrzymującą pensję. Wszystkie cacka, bronie, cukierki, wywożono z Paryża. O dwunastej oświadczyła że sama będzie obecną rozdawaniu; wtenczas udano się do sali czarnoksięskiej, gdzie wielcy i mali, chciwem okiem pożerali porozstawiane tu i owdzie zabawki.

Każde z dzieci otrzymało podarek, zawczasu mu przeznaczony, poczem każde ją uściskało i wyrecytowało małe powinszowanie. Były między niemi takie, którym czy radość, czy wzruszenie nagle

— 235 —

pamięć odebrało; Józefina zdawała się nie zwracać na to uwagi. Tym, którzy później wejść mieli do szkoły wojskowej, dała podarek

w styczności będący z przyszłym stanem: jedni dostali pudełka z narzędziami matematycznymi, inni pałasze; prawie wszyscy pragnęli pary pistoletów, ale na nieszczęście te wszystkim dostać się nie mogły. Natychmiast po przybyciu najmłodszy rzucił się na drewniane konie, lalki; pudełka z robotą były przeznaczone dla dziewczynek. Po skończonym rozdawaniu tej kolendy, radośna gromada narobiła takiego hałasu, że Józefina ujrzała się zmuszoną zostawienia jej wolnego pola, i wyszła do swego pokoju; ale zaledwie się oddaliła, sprzeczki wszczęły się ze wszystkich stron.

Mali chłopcy jednoznacznie postanowili bawić się w *wojnę* i chcieli zwerbować

— 236 —

przemocą dziewczynki. Te stanowczo odmówiły; kilka nawet głośno powstawało przeciw tej przemocy, gdy w tem młody Achilles Załuski (syn jenerała polskiego, naturalizowanego Francuza, dla którego Napoleon miał wielki szacunek) który samowolnie obrał się wodzem wojska, postanowił, że te dziewczynki, które okażą się najbardziej uparte, zostaną zamknięte w cytadelli, i zostaną tam aż do czasu póki nie zechcą zaciągnąć się pod ich chorągwie. Cytadellą zaś był piękny budoar cesarzowej, oświecony jednym oknem złożonym z jednej tylko szyby i obity zieloną materyą haftowaną w złote pszczoły.

Chciano złożyć radę wojenną i nawet rozstrzelać małą Emmę, która, jak się zdawało, stanęła na czele opozycji, gdy, na jej szczęście, pani la Rochefoucault oparła się ich władzy i zagroziła p. Achillesowi,

— 237 —

że mu tylko da suchego chleba, jeżeli nie pozwoli pannom bawić się, jak im się podoba; i obawiając się, żeby jeszcze nie były niepokojone, wszystkie zaprowadziła do cytadelli. Skoro dzieci zostały rozdzielone, sprzeczki wszystkie naturalnie się załatwiły; ale za to hałas stał się większy jeszcze.

Józefina, słysząc ich radosne krzyki, zdawała się być zachwyconą; ale Napoleon, który przybył do Saint-Cloud, żeby pracować

swobodniej, i którego gabinet znajdował się właśnie pod małym salonem, wszedł do swojej żony, i zapytał jej na pół wesoło, na pół poważnie o powód krzyków nad jego głową; Józefina wyjaśniła mu ten powód:

— Mogłaś, odrzekł, rozdawać twoją kolendę, kiedy mnie nie było. Idę sam

— 238 —

prosić twoich gości, żeby cokolwiek mniej robili hałasu, i jeżeli nie przestaną...

— Pozwólże bawić się tym biednym dzieciom, dodała Józefina; bawią się w wojnę. A ty czy nie robisz więcej hałasu, aniżeli oni? Zobaczywszy cię, przestraszą się; poślę kogo, który będzie umiał je uspokoić,

— Ah! bawią się w wojnę! powtórzył Napoleon z uśmiechem; to musi być bardzo śmieszne; chciałbym to widzieć.

A idąc na palcach, cesarz przybył do małego salonu, słucha przez chwilę i słyszy te wyrazy: *Naprzód!... rozbij!... Zabilem go!... To nie prawda!... Prawda!... Masz!.. Już nie żyje!...* Potem płacz miesza się z krzykami. Wtenczas Napoleon z wolna otwiera drzwi i ukazuje się.

— No, co to jest? zapytuje surowo; płaczecie?

— 239 —

Na te wyrazy, mała armia podnosi głowy, bronie upadają, wszyscy stają nieruchomi z zadziwienia i obawy. Cesarz wodzi okiem po tem zgromadzeniu malców, z których jeden łagodniejszym jest od drugiego; nie może wstrzymać się od śmiechu z ubioru, jaki każdy sobie wymyślił: ten zrobił sobie z arkusza papieru trójgromny kapelusz, do którego w braku kokardy, przyczepił ogromny makaron; tamten zawiesił swój kaftanik na jednym ramieniu, żeby przedstawić dolman huzarski; inny, mały Adolf, zrobił sobie wąsy z atramentu, a szalika którejś dziewczynki użył zamiast pasa, za którym zatknął nóż z perłowej macicy do rozrywania papieru, zamiast sztyletu; rękawy ma zawinięte aż po łokcie; trzyma pistolet w każdej ręce. P. Adolf, w tym ubiorze ma minę tak zuchwałą, że Napoleon usiadł, żeby mu się

— 240 —

lepiej przypatrzeć: daje mu znak, żeby się przybliżył do niego, i wzięwszy go za rękę:

— Jak się nazywasz panie fanfaronie? zapytał go usiłując zachować powagę.

— Nazywam się Adolf.

— Założę się, żeś to ty krzyczał głośniejszy niż inni.

— Bo ten Achilles, nie chce żeby był jenerałem: on zawsze nim jest.

— To niesprawiedliwie: każdy powinien być z kolei. Gdzie jest ten pan Achilles?

— O! tam, ten co ma pancerz.

I Adolf, odwróciwszy się, wskazał palcem cesarzowi malca cokolwiek większego niż on, który zrobił sobie pewien rodzaj zbroi z książki not oprawnych, na której błyszczała cukrowa gwiazda.

— Ah! pomówię ja z tym panem Achillesem, który tu chce uchodzić za pana.

— 241 —

I cesarz z lekka uderzywszy Adolfa po twarzy, dozwala mu odejść i woła Achillesa. Ten przybiega podskakując, i jednym susem, wskakuje na kolana Napoleona, który mówi do niego:

— Jak się nazywa twój papa, panie Achillecie?

— Nazywa się jenerał Załuski.

Na to imię twarzy cesarza ożywia się, oczy jego błyszczą, przyciąga bliżej dziecię, i patrząc na nie z czułością, mówi:

— Załuski, mówisz; ależ on jest moim przyjacielem, on jest waleczny! A ty, czem chcesz być kiedyś?

— Ja? chcę być tak jak mój papa: chcę mieć wielkie szlify złote i szablę co dobrze rąbie.

— Do diabła!... I cóż z nią zrobisz?

— Będę zabijał wszystkich nieprzyjaciół

— Do prawdy! Ale zdaje mi się, że już mieć ich nie będziemy.

— A potem, dodaje dziecię, chcę mieć koło szyi wstążkę czerwoną, jak papa, z pięknym krzyżem honorowym; to tak ładnie!... ale nie tak jak ten.

Mówiąc te wyrazy, Achilles oderwał swoją cukrową gwiazdę i zgrzył ją w kawałki.

— To jest co innego, znów zaczyna cesarz; cokolwiek za prędko postępujesz. Ile masz lat?

— Będę miał dziewięć w dzień imienin mojej mamy.

— A więc, za dwadzieścia lat...

— Ja chcę wcześniej. Papa powiedział mi, że w ośmnastym roku będę oficerem.

— Bo sądził o tobie, podług siebie.

Wreszcie to zależy od ciebie. Tymczasem... masz... jak złamiesz twój pałasz, kupisz sobie za to inny.

I Napoleon wyjął z kieszeni pieniądz czterdziestofrankowy i dał go malcowi. Potem kazał mu bawić się z swojemi towarzyszami, i prosił wszystkich żeby mniej robili hałasu, jeżeli to być może.

— Bądźcie zdrowi, moi mali przyjaciele, rzekł do nich oddalając się: bawcie się dobrze; ale nie bijcie się na piękne, zabraniam wam.

Kłamstwem byłoby powiedzieć, że polecenie Napoleona zostało w zupełności wykonanem. Mały Adolf, zazdrosny zapewne, że cesarz dał Achillesowi na kupienie pałasza, a jego pociągnął tylko za ucho, starał się pokłócić z nim, pod pozorem, że nie chce zostawić go przy dowództwie. Sprzeczek stawała się żwawą,

miało przyjść do razów, gdy pani de la Rochefoucault przysłała uwiadomić. Że śniadanie czeka małych zapaleńców.

Mała armia uszykowała się w dwa szeregi, zostawując na brzegach najwyższych postawą i stopniem, wykonywając grzmiące *rrrratapan*, plan, plan w towarzystwie bębnow i trąb, prędkim krokiem udała się do cytadelli, gdzie stół przepyszny był zastawiony jakby za wpływem czarów. Cesarzowa przysłała raz jeszcze, żeby znów zobaczyć swoich małych protegowanych i swojemi białymi rękami zatkała sobie uszy dopóki cała armia nie przeszła.

Dziewięć lat upłynęło: było to w początku roku 1814; Europa, która poprzednio uległa była rozkazom Napoleona, złączyła się przeciw niemu. Wielka armia cudów dokazywała. Po tylu zwycięztwach ile bitew było, silny powodzeniem każdego

dnia, cesarz 6 marca stanął w Craonne, i że tak powiemy wsunął się między biwaki armii nieprzyjacielskiej, zgromadzonej na wszystkich punktach okolicznych.

Tam wśród nocy, sam rozpoznał rozmaite pozycje nieprzyjaciela, a na drugi dzień, o świcie, cała armia rozwinęła się do bitwy. O godzinie ósmej rano okrzyki żołnierzy oznajmiły obecność cesarza; walka się rozpoczęła, Od posiadania jednej małej płaszczyzny na wzgórzu, którą obce armie z kolei zdobywały i utracaly, zależało zwycięztwo dnia całego. Bardzo trudno tam było się utrzymać, pozyskawszy ją po raz ostatni. Była to czwarta: dzień zaczął zapadać, a los walki nie rozstrzygnięty. Napoleon rzuca niepewnym wzrokiem na swoją starą gwardyą, stojącą za nim nieruchomą, ale niecierpliwą... Potrzebuje powiedzieć słowo tylko, a wszystko

może skończyć się za chwilę. Może i miał wymówić ten wyraz, gdy w tem nagle adjutant przybiega cwałem, i woła:

— Cesarz!... cesarz!... gdzie jest cesarz?

Napoleon wychodzi z pośrodku swojego sztabu pokryty błotem, bo przed chwilą wraz z koniem wpadł w rów.

— Co to jest? mówi; otóż jestem! Czego chcą ode mnie?

— Najjaśniejszy panie, odpowiada adiutant zsiadając z konia, jesteśmy panami wzgórze.

— Przecie!... zawołał Napoleon, wznosząc ręce; konia!

I kiedy Rustan przytrzymał mu strzemię, cesarz mówił dalej do adjutanta, który błady, pokryty krwią, zdaje się zaledwie trzymać na nogach:

— Kto pana przysłał?... Czy marszałek czy twój generał?

— Najjaśniejszy panie... nie generał; został on zabity na miejscu przez grenadierów nieprzyjacielskich... i... ja... sam..

Nie może powiedzieć więcej; oczy jego zamykają się i upada.

— Podjąć największe starania o tym oficerze, mówi Napoleon głosem wzruszonym; jest on kapitanem... Chwilę panowie, czekajcie, odpinając krzyż, nachyla się żeby go umieścić na piersiach młodego adjutanta, śmiertelnie ranionego. Ten, ostatnie czyni wysilenie; bierze rękę cesarza, i niosąc ją do ust, mówi głosem przerywanym i zagasłym prawie:

— Ah! najjaśniejszy panie... umieram szczęśliwy, powiedziałem to W. C. Mości przed dziewięciu laty, w Saint-Cloud, że kiedyś godny będę nosić ten krzyż... Więc nie poznajesz mię, najjaśniejszy panie?... Jestem Achilles Załuski... Powiedz,

najjaśniejszy panie, memu ojcu, żem umarł godnym jego!... co się tycze mojej biednej siostry...

Po tych słowach. głowa mu opadła, wargi poruszyły się jeszcze; ale już nic nie usłyszano. Tymczasem Napoleon spoglądał na niego z uwagą, jakby szukając odległego wspomnienia; ostatnie wyrazy oficera drżeniem go przejęły.

— Tak, tak, szlachetne dziecię, przypominam sobie, rzekł głosem stłumionym przez doznane wzruszenie. Na koń, panowie, dodał podnosząc głos; potem przejeżdżając przed frontem szwadronu gwardyi będącej w szyku bojowym, zawołał:

— Z koni, grenadyerowie! bitwa wygrana.

Puścił się w dalszą drogę w towarzystwie

swojego sztabu i głośnych okrzyków: *Niech żyje cesarz!*

Wtenczas kilku grenadierów, którzy posiadali z koni. zbliżyli się do ciała Achillesa, które leżało przy koniu, pokrytym pianą. Jeden z nich, popatrzawszy na niego przez jakiś czas w milczeniu, wstrząsnął głową, założywszy ręce na piersiach, mruknął tonem litości.

— Biedny porucznik!... tak młody jeszcze; Napoleon zrobił go kapitanem; dał mu swój własny krzyż... A to nic!... nie ma nikogo!... Nie w porę zmarło się biedakowi.

— Co tam mruyczysz do siebie? Zapytuje brygadyer, który nachylił się nad ciałem młodzieńca, mniemając, że ten oddycha jeszcze. Jakie głupstwo!... porucznik przyrzekł mu przed dziesięciu laty, że

— 250 —

dziś da się zabić; czyś nie rozumiał co on powiedział?

Nazajutrz Achilles otrzymał honory winne umierającym na polu bitwy. W dwa dni potem, kiedy Napoleon gotował się odebrać Reims wojskom sprzymierzonym, spostrzegłszy generała Załuskiego, kazał go zawołać.

— Jenerale, rzekł do niego poważnie, twój syn poległ na polu sławy: czyś wiedział o tem?

— Wiedziałem, najjaśniejszy panie.

— On miał siostrę?

— Tak, najjaśniejszy panie... Miała już tylko mnie i jego.

— A mnie? żywo zapytał Napoleon: zapomniałeś o mnie jenerale! Wczoraj podpisałem jej przyjęcie do instytutu cesarskiego w Ecoeu; zajmę się jej posagiem. Ozdobiłem jej brata. Jenerale dziś rano

— 251 —

mianowałem cię wielkim oficerem legii honorowej...

— Dzięki ci, dzięki, najjaśniejszy panie!... Ale mój syn.... Nie mam już syna...

I ponieważ dwie łzy spłynęły po wychudłych licach starego Polaka. Napoleon zsiadł z konia i podając mu rękę:

— Pójdź, biedny Załuski, rzekł do niego głosem wzruszonym, pójdź uściskać twojego cesarza, bo on także jest nieszczęśliwy!

Na te słowa, ojciec Achillesa rzucił się w objęcia cesarza, dając wolny bieg łzom.

Panna Załuska weszła do Ecoeu, poczem niezwłocznie przeznaczoną została do domu cesarskiego w Saint-Denis. Ale cesarz nie miał czasu tak ją uposażyć jak zamierzył, bo wkrótce wysłano go na wyspę Świętej Heleny, żeby także oplakiwał syna, żyjącego wprawdzie, ale równie jak

— 252 —

on skazanego na wygnanie. Pamięć Achillesa zawsze jest przytomną jego siostrze. Niedawno jeszcze, kiedy nam o nim mówiła, oczy jej napełniły się łzami; w milczeniu pokazała nam mały pałasz dziecienny i krzyż legii honorowej, zawieszony nad kominem; była to kolenda otrzymana w Saint-Cloud od cesarzowej Józefiny, i dekoracja, którą cesarz odpiął od własnych piersi, w Craonnie, żeby ją umieścić na bijącym jeszcze sercu jej brata.

\* \* \*

Piękna droga.

W czasie wielkiego przeglądu, jeden młody podporucznik wychodzi z szeregów i staje przed cesarzem:

— 253 —

— Czego pan chcesz? nagle zapytuje Napoleon.

— Najjaśniejszy panie, już cztery lata jestem podporucznikiem, nie awansowałem od tego czasu.

— Ja nim byłem przez lat sześć: widzisz pan jednak, że mi to nie przeszkodziło zrobić karyery.

— To prawda najjaśniejszy panie, ale W. C. Mość umiała wynagrodzić czas stracony.

— Powinieneś pan starać się uczynić podobnie.

\* \* \*

Małe podarki utrzymują przyjaźń.

*Więcej znaczy sposób obdarzenia, aniżeli wartość daru.* Ta aksjoma zastosowaną

— 254 —

być mogła do Napoleona, który posiadał do najwyższego stopnia dar rozdawania swoich łask i dobrodziejstw z niesłychaną uprzejmością. Potrafił ujmującymi słowami zwiększyć wartość najdrobniejszych podarków. W takich okolicznościach, zwykle nieprzewidzianych, dźwięk jego głosu miał w sobie coś pochlebnego, głaszczącego; jego oczy pokazywały największą dobroć, a uśmiech, ten uśmiech, uspakajający królów, których korony się chwiały po odniesionem zwycięztwie, spoczywał na tobie z wdziękiem niewypowiedzianym.

Jednak Napoleon nie był rozrzutny. Budżet jego domu, równie jak budżet stanu, był utrzymywany z purytańską skrupulatnością; czy potrzeba na to dowodu? Pewnego dnia jego pierwszy służący został przeznaczony przez niego do odprowadzenia

— 255 —

króla rzymskiego do pani Montesquieu. Constant powraca zdać mu sprawę z swego posłannictwa. Napoleon go zatrzymuje i rozmawia z nim; potem według zwyczaju, pociągnawszy go za ucho, i zadawszy kilka osobistych pytań:

— Ale! Constant, dodaje, ile masz płacy?

— Sześć tysięcy franków rocznie, najjaśniejszy panie.

— A Collin, czy wiesz ile ma?

— Najjaśniejszy panie, Collin ma dwanaście tysięcy franków.

— Dwanaście, to niesprawiedliwie. Ty jesteś moim pierwszym służącym, nie powinienes mieć mniej, aniżeli pierwszy kontroller; od dziś podwajam twoją płacę. Idź, powiedz panu Estève, żeby przyszedł, chcę z nim mówić w tym przedmiocie.

Podskarbi koronny stawił się na

— 256 —

wzwanie: Napoleon zawiadamia go o nowem postanowieniu względem Constant.

— Najjaśniejszy panie, odpowiada mu Estève, roczne rachunki już są zakończone. W. C. Mość sama zatwierdziła i podpisała wydatki swojego domu; potrzebuję rozkazu na to zwiększenie funduszów.

— Słusznie, odpowiada cesarz, co się stało już się nie odstanie. Nie powinienem i nie chcę nic zmieniać w twojej rachunkowości;

zbyt dobrze ją utrzymujesz, panie hrabio Estève; w inny sposób załatwię ten interes. Możesz odejść.

Podskarbi wyszedł; Napoleon rzekł do Constant:

— Aż do końca roku, baron Fain co miesiąc dawać ci będzie pięćset franków z mojej osobnej kassy; w przyszłym roku każę urządzić ten wydatek, bądź tego pewny.

— 257 —

Stąd się pokazuje, że najmniejsze wydatki w domu J. C. Mości były kontrolowane z największą skrupulatnością. Opuszczenie kilku centymów w rachunku ogólnym ściągnęłoby wyrzuty na utrzymującego księgi; ale, o ile Napoleon lubił zdawać sobie sprawę z każdego centymu, o tyle w ważnych okolicznościach, lubił nie zważać na hojność lub wspaniałość podarku. Cesarzowa Józefina żartowała czasem z tych jego, jak je dowcipnie nazywała: *wybuchów wspaniałomyślności*. Napoleon odpowiadał jej złośliwie:

— Tak, żartuj sobie ze mnie! Komu to sztydzić, wszakże tobie nie dosyć świecę zapalić po obu końcach, ty zapalasz ją w połowie.

— To nie dowodzi jeszcze, odpierała Józefina, że ty nie jesteś rozrzutniejszym

— 258 —

odemnie, twojami niby małemi podarkami; jeżeli zechcesz dowiodę ci tego.

Na te słowa, Napoleon śmiał się do rozpuku i wesoło mówił, zacierając ręce:

— To być może; ale ja przynajmniej wiem co robię: mam przyczyny; *małe podarki utrzymują przyjaźń*.

To przysłowie było usprawiedliwieniem cesarza w jego przystępach hojności, i śmiejąc się, używał go finansowo i administracyjnie. Był jednak skąpy względem osób składających jego służbę prywatną. Nigdy nie dawał im kolendy, i dla tego powinny były liczyć tylko na swoją płacę, zwiększoną wprawdzie hojnemi gratyfikacyami, kiedy mu towarzyszyły bądź to w podróży, bądź to w jakiej kampanii; ale w takim razie Napoleon wymagał, żeby każdy z obdarzonych miał ubiór odpowiedni jego powołaniu. Była to istotnie

— 259 —

rzecz nadzwyczajna widzieć władcę połowy Europy zajmującego się ubiorem swojego służącego; to go tyle zajmowało, że kiedy którego widział dwa dni w tych samych sukniach, mówił do niego, marszcząc brwi:

— Ah! ah! zaniedbałeś się dzisiaj! Czyś słaby?

Ale kiedy za to spostrzegł którego ze służących w nowym i gustownym ubiorze, zwykł był zatrzymywać się przed nim i mawiać z uśmiechem:

— Jakżeś dziś piękny, mój panie! dobrze, dobrze! lubię to.

W epoce ślubu z Maryą Ludwiką, i przy urodzeniu króla rzymskiego, żaden z oficerów dworu J. C. Mości nie otrzymał podarku, ponieważ cesarz dostrzegł, że koszta tych dwóch uroczystości wyniosły daleko więcej aniżeli się spodziewał.

— 260 —

Jednak w pierwszych dniach stycznia 1812 r. bez żadnej okoliczności, chyba z powodu nowego roku, Napoleon powiedział pewnego razu swojemu pierwszemu służącemu, kiedy ten kończył go ubierać:

— Constant, służ mi ciągle jak teraz, a będę pamiętał o tobie.

W tym samym czasie wsunął mu w rękę trzy zgniecione papierki, podobne do obwinieć cukierkowych.

— To moje pastylki, weź je, masz katar, one ci pomogą.

Potem włożywszy kapelusz na głowę, uszedł nie zwracając uwagi na dziękczynienia, które służący mu składał najszczerzej, bardziej zadowolony troskliwością o jego zdrowie, aniżeli z wartości podarku. Ale zaledwie Napoleon się oddalił, Constant, chcąc zażyć lekarstwa, rozwinął papier; były to trzy sztuki cztrdziestofrankowe,

— 261 —

z których każda owinięta była w bilet tysiącfrankowy. Nie wiemy czy czytelnicy uznają zajmującemi te drobiazgowo wspomnienia; ale nam wydały się one stosownemi na wykazanie charakteru cesarza i sposobu obchodzenia się z ludźmi. Oprócz tego, te drobiazgi mogą świadczyć o ścisłej oszczędności, którą zaprowadził w swoim domu, oszczędności, która u niego była zasadą rozsądku, od której odstępował, jak to pokazaliśmy, kiedy szlachetność lub wrodzona dobroć skłaniały go do tego.

Pewnego rana, jego pierwszy lekarz, Corvisart, o zwykłej godzinie swoich odwiedzin, wszedł bardzo wzruszony do sypialni cesarza.

— Co ci jest kochany doktorze? zapytał Napoleon; masz twarz zmienioną; czyś kogo zabił rozmyślnie.

— 262 —

— Wybacz, najjaśniejszy panie; ale nie mam chęci do śmiechu; widziałem rzecz, która mię bardzo zasmuciła.

— Cóż takiego?... Może wszyscy twoi chorzy już wstali z łóżka.

— Przeciwnie, najjaśniejszy panie. Biedny Lavolle-Leroux upadł tknięty apopleksją, tu, przy schodach W. C. Mości.

— Jak to, u mnie, doktorze. zawołał Napoleon, jest to wielka strata dla senatu. Do pioruna!...

— Najjaśniejszy panie, nie szczędziłem starań; ale już było za późno.

— Tak, zawsze ta sama piosnka, odrzekł Napoleon z poruszeniem niecierpliwości; widzisz dobrze, doktorze, że źle czynisz, nie chcąc tu sypiać; ale jesteś tak uparty! Biedny Lavolle-Leroux! był to dobry, zacny człowiek. Słuchaj, Corvisart, dodał cesarz z przychylnością, ponieważ byłś

— 263 —

obecny ostatnim jego chwilom, powinieneś także być jednym z jego dziedziców. Pożyczyłem mu przed rokiem sto tysięcy franków; dał mi rewers, mam go tutaj; dam ci go, stanowiąc on będzie pewien rodzaj wynagrodzenia, jak mówi pan Azaïs, od osób, którym ocaliłeś życie, a oni tylko niewdzięcznością zapłacili.

Corvisart, nie wiedząc w jakim stanie znajdowały się interesa pieniężne pana Lavolle-Leroux w czasie jego śmierci, wiedząc że zostawił prawnych spadkobierców, i jako człowiek rozsądny, obawiając się, żeby ten rewers nie był wypłacalnym zaraz za okazaniem onego, rzekł do cesarza nazajutrz przyszedłszy według zwyczaju na poranną wizytę:

— Najjaśniejszy panie, W. C. Mość wczoraj dając mi rewers pana Lavolle-Leroux, zapomniałeś o najważniejszej rzeczy.

— 264 —

— O czymże takim doktorze? Zapytał cesarz.

— O drobnostce, najjaśniejszy panie; mała formalność. W. C. Mość nie pomyślała, że ten rewers powinien być cedowanym na moje imię.

— Ah! rozumiem, zawołał Napoleon, nie chcesz się narażać na protest. I własną ręką napisał te wyrazy na odwrotnej stronie.

»Dobry na sto tysięcy franków, wartość w moim rachunku przyszłego kwartału. Hrabia Estève wypłaci za okazaniem (à vue) baronowi Corvisart.»

*Napoleon.*

Dodać nam wypada, że ta summa sto tysięcy franków święcie była wrócona panu Esteve, skoro nastąpił rozdział dóbr senatora, dóbr najgodziwszym sposobem nabytych.

— 265 —

Tego samego dnia, kiedy ten smutny wypadek miał miejsce, za ledwie cesarz skończył śniadanie, Talma wprowadzonym został. Kazał on zawołać wielkiego artystę, żeby z nim pomówić o efekcie jaki sprawi rola w jednej tragedji, którą Komedia-Francuzka przyjmowała do repertoaru. Napoleon, po półgodzinnej rozmowie, pokazuje sławnemu traikowi przecudowną kameę, którą otrzymał z Włoch: było to popiersie cesarza rzymskiego, ślicznie wypracowane.

— Jakżeż ją znajdujesz, Talma? Zapytał go z zajęciem.

— Bardzo piękna, najjaśniejszy panie. Nic szczególnego w niej nie upatrujesz?

— Najjaśniejszy panie, z uwagą wpatrzywszy się, zdaje mi się, że ten profil ma wielkie podobieństwo do W. C. Mości

— 266 —

— To prawda, bardzo miło mi, żeś dostrzegł to podobieństwo, ponieważ ta kamea, jako klejnot, byłaby drobnostką, którejbym ci nie śmiał ofiarować; ale jako mój portret, będzie to pamiątka, której nie odmówisz przyjęcia odemnie.

Później dodał, jak za zwyczaj, z uśmiechem:

— Talma, małe podarki utrzymują przyjaźń.

\* \* \*

#### Własność literacka.

Napoleon najzdrowszym rozsądkiem rozbierał zasady i myśli o własności literackiej, i żeby tego dowieść, dosyć będzie przytoczyć następny wypadek:

— 267 —

Grano w teatrze Odeon dramę *Nienawiść ludzi i żal*; powiedział przy tej sposobności Bourrienne'owi, który naówczas był jego sekretarzem tajnym.

— Mój drogi, okradziono cię.

— Mnie, jenerale!! (Napoleon był wtenczas konsulem) jak to?

— Okradziono cię, mówię: grają twoją sztukę w teatrze Odeon; trzeba upomnieć się o prawa autorskie.

Dla zrozumienia tej krótkiej rozmowy, potrzeba małego wyjaśnienia.

W czasie pobytu w Warszawie, Bourrienne bawił się tłumaczeniem sławnej dramy Kotzebue'go. Potem we Włoszech dał to tłumaczenie Napoleonowi do czytania, któremu się podobała; lubił bowiem przedmiot tej sztuki; w Paryżu był kilka razy na jej przedstawieniu, a ilekroć powracał z widowiska, zawsze nalegał na

— 268 —

swego sekretarza, żeby się odwołał do praw autorskich.

— Ale, odpowiada Bourrienne, to dzieło jest cudzoziemskie, i ja to raczej ukradłem go prawdziwemu autorowi.

— A więc, niech panowie artyści przedstawiają go po niemiecku, odrzekł Napoleon, ponieważ od chwili, kiedyś sfrancuził sztukę autora niemieckiego, ciebie oni okradają.

Napoleon nie chciał odstąpić od swego rozumowania. Bourrienne myślał, że położy koniec sprzecze, powiedziawszy:

— W końcu, jenerale, zatrudnienia moje przy was nie pozwoliły by mi czasu prowadzić proces literacki, jakiego jeszcze nie było.

— Źle czynisz, mój kochany, odpowiedział Napoleon, ponieważ wygrałbyś go:

— 269 —

nie trzeba nigdy tworzyć sobie zasad z tego co było poprzednio, tak jakby niepodobieństwem było uczynić lepiej: powtarzam ci, okradziono cię.

\* \* \*

Nie każdy śpi co chce.

Na drugi czy na trzeci dzień po powrocie z jednej z najświetniejszych kampanii w Niemczech, Napoleon wcześniej położył się do łóżka: była dopiero północ. Jego adjutant Lemarrois chciał także użyć cokolwiek spoczynku; ale cesarz woła go i każe mu iść po pana Talleyrand. Ten przybywa: rozmowa przeciąga się dosyć długo; ale Napoleon, który trzymał głowę

— 270 —

na poduszce niebawem zasypia. Lemarrois, który dopiero po odejściu ministra, może udać się na spoczynek, słyszy jak druga bije na zegarze pałacowym, i w obawie czy p. de Talleyrand nie wyszedł przez mały gabinet, idzie po pierwszego służącego cesarza, bo ten tylko może wniknąć do sypialni nie będąc wołany, i zwierza mu się z swoich domysłów.

— Jenerale, on jest jeszcze tam, jestem tego pewny, odpowiada Constant.

— Jednak słuchałem kilka razy przy drzwiach i nic nie słyszałem.

— Gdyby p. de Talleyrand wyszedł, J. C. Mość niebawem by mnie przyzwała, żeby zapalić lampę nową i zagasić świece; wiesz o tem dobrze jenerale.

Lemarrois powraca na swoje miejsce. Czwarta bije. Znow idzie do Constant, który równie jak adjutant, znajduje

— 271 —

rozmowę cokolwiek za długą, i decyduje się wejść do sypialni cesarza. Uchyła drzwi jak może najciszej; adjutant patrzy... Najgłębsza ciemność panuje w sypialni; wszystkie świece są wypalone. Napoleon, którego sen był bardzo lekki, przebudza się i zapytuje silnym głosem:

— Kto tu?... Co tu jest?...

Jego służący odpowiada mu, że myśląc iż księżę Benewentu wyszedł, przyszedł zagasić świece; i w tym samym czasie wnosi światło.

— Do pioruna, bo też to czas po temu! woła Napoleon, uniósłszy głowę, żeby spojrzeć na zegar umieszczony w nogach jego łóżka. Ale, dodał siadając gdzie jest Talleyrand?.. Talleyrand, Talleyrand! zawołał, widząc, że minister śpi, wyciągnięty na kanapie. Jak to! zdaje mi się,

— 272 —

niech *mu* Bóg przebaczy, że zasnął przy mnie!... Hej! hej! wstańże panie leniuchu!

W istocie, minister, widząc, że cesarz zasnął, nie śmiejąc wyjść z sypialni, żeby go nie przebudzić, ponieważ Napoleon nie omieszkałby go znow przywołać, spozjrzał koło siebie i dostrzegł kanapę dosyć wygodną; położył się na niej i także zasnął niebawem.

— Wybacz, najjaśniejszy panie, powiedział p. de Talleyrand, ziewając pomimowolnie, dla tego zasnąłem, żeby nie obudzić W. C. Mości, która, dając na to moje słowo, lepiej spała aniżeli ja.

— No, odrzekł Napoleon śmiejąc się, zbliż się do ognia: pomówimy cokolwiek, kiedyś został.

W czasie tego Constant zapalił inne świece i oddalił się. Lemarrois czekał jeszcze przez półgodziny końca tego sam

— 273 —

na sam; nakoniec p. de Talleyrand wyszedł.

— Teraz na mnie kolej spać, rzekł wtenczas adjutant, który nie mógł się już na nogach utrzymać.

Ale zaledwie rozpiął kołnierz swego munduru, służący zabrał połowę łóżko adjutanta.

\* \* \*

Nieustraszoność przedewszystkiem.

Napoleon niewiele zważał na zwyczajną odwagę i uważał ją jako wrodzony przymiot Francuzów: nieustraszoność tylko stanowiła w jego oczach uwagi godny przymiot: nieustraszonemu byłby wszystko

— 274 —

przebaczył: takie były zwykle jego słowa.

Jeżeli który wojskowy prosił o jaką łaskę, bądź na posłuchaniu, bądź na przegładzie, zawsze zapytywał go czy był raniony, utrzymywał bowiem, że każda rana była kwaterą szlachetności: szaczczył i wynagradzał ten rodzaj odznaczenia się.

Kiedy przed frontem jakiego pułku wypadło mu zapytać się pułkownika, który z jego oficerów był najbardziej nieustraszonym,

nigdy długo nie czekał na odpowiedź. Napoleon zwracał się potem do otaczających go oficerów, i wznawiał zapytanie:

— Który z was, panowie, jest najodważniejszy?

— Najjaśniejszy panie, ten i ten!

Dwie odpowiedzi zawsze były podobne.

— Panie *ten i ten*, mówił wtenczas

— 275 —

Napoleon. mianuję pana baronem! Wynagradzam w tobie, nie tylko waleczność osobistą, ale waleczność korpusu, do którego należysz. Nie mnie tylko winienes tę łaskę, ale i szacunkowi twoich towarzyszy.

Potem kazał się zbliżyć nowemu dygnitarzowi i ścisnął go.

Podobnie postępował z żołnierzami, najbardziej odznaczającymi się przez męstwo i dobre postępowanie: dostawali awans, albo otrzymywali, z prywatnej szkatuły cesarza, gratyfikacje, pensye nawet, jeżeli byli ranionymi w jakiej zaciętej bitwie.

W roku 1807, po bitwie pod Eylau, udzielił pensję sześćset franków rocznie jednemu młodemu żołnierzowi, który pierwszy raz będąc w ogniu, przeszedł przez cały szwadron nieprzyjacielskich huzarów, żeby szukać swego dowódcy śmiertelnie

— 276 —

ranionego: i niosąc go na plecach, bronił szablą, jakby własnego ojca, mówił Napoleon opowiadając ten czyn niesłychanej odwagi; mieścił on go na równi z temi, których wspomnienie starożytność nam podała.

Więcej znaczy sposób obdarzania, aniżeli wartość daru.

Kiedy Napoleon miał komu wyświadczyć jaką łaskę, zwykle adjutanta używał jako posłańca. Wiadomo, że Napoleon posiadał

w najwyższym stopniu talent miłego obdarzania; wiadomo także, że marszałek Brune, był jednym z tych ludzi, którzy

— 277 —

nie przystąpiliby do żadnego układu; dla tego też był ubogim, jeżeli nim marszałek, cesarstwa być mógł; mówiąc krócej miał tylko swoją pensją. Pewnego rana otrzymuje odwiedziny hrabi Caffarelli, który bez ceremonii przychodzi proponować marszałkowi polowanie; marszałek nie tęgi myśliwy; przyjmuje propozycję raczej jako przechadzkę i sposobność pomówienia o interesach, aniżeli w zamiarze wyrządzenia jakiej krzywdy zającom lub królikom. Jednak w chwili wsiadania do powozu, mówi do hrabi:

- Zdawało mi się, że pan dziś jesteś na służbie przy cesarzu.
- Tak jest.
- A więc dla czegoż pan oddaliłeś się.
- Cesarz mię do tego *upoważnił*, odpowiada hrabia ze znaczeniem, którego marszałek nie rozumie.

— 278 —

— W takim razie, trzeba korzystać, mówi Brune śmiejąc się.

Jadą i wkrótce przybywają do pięknego zamku położonego o kilka mil od stolicy. Posiliwszy się cokolwiek po dwugodzinnej przechadzce z strzelbą na ramieniu, powracają. Śniadanie jest zastawione z wytwornością i zbytkiem. Po kawie zwiedzają pokoje; wszystkie są umeblowane pięknie i starannie. W chwili wsiadania do powozu, hrabia Caffarelli mówi do swego towarzysza:

- Ponieważ podoba ci się tu, panie marszałku, nie wiem czemuś tu nie miał zostać?
- Mój drogi jenerale, nie mogę przecie być twoim stołownikiem.
- Jak to, moim stołownikiem!... Nie jesteś pan u mnie.

— 279 —

— U kogoż więc jestem? zapytał wtedy marszałek.

— U siebie.

— Bardzo to grzecznie z twojej strony, panie jenerale, dodaje śmiejąc się; ale powtarzam ci, nie umiałbym aż do tego stopnia nadużywać twojej gościnności.

— Mam zaszczyt raz jeszcze powtórzyć że jesteś u siebie. Ten zamek do pana należy, daje ci go cesarz, który mię dziś upoważnił do prowadzenia pana i zwrócenia mu tego aktu opatrzzonego twoim, panie marszałku, podpisem; a wiesz pan, tak dobrze jak ja, że cesarzowi posłusznym być trzeba.

— 280 —

Mistyfikacja.

Książę Hieronim Bonaparte, będąc w Wrocławiu, spostrzegł w teatrze bardzo ładną aktorkę. Grała dosyć źle, ale za to miała ładny głos. Brat cesarza zbliżył się do niej. Młoda aktorka oświadczyła, że chce zostać cnotliwą. Ale królowie nigdy długo na próżno nie wdychają, rzucają przeważny ciężar na szalę cnoty; dla tego też młody król Westfalii uwiózł niebawem swoją nową zdobycz do Cassel, gdzie wkrótce wydał ją za żonę za swego pierwszego lokaja, nazwiskiem Albertoni, którego zwyczajnie włoskie nie zdawały się wzbudzać w nim wstrętu do podobnego związku. Ale za ledwie ten z nią ożenił się, natychmiast porzucił służbę u króla,

— 281 —

udał się do Paryża z żoną, w której się zakochał i stał się zazdrosnym jak tygrys.

Hieronim, cokolwiek zaintrygowany, napisał do ministra policyi (był nim naówczas Savary) żądając od niego zwrotu swojego lokaja, a szczególnież żony, ale minister uważał sobie za powinność mówić wprzód o tem z cesarzem, który mu na to odpowiedział:

— Lokaj Hieronima użył swoich praw. Upoważniam pana odpowiedzieć królowi Westfalii, że pan nie możesz uczynić tego, czego on po tobie wymaga, gdyż byłoby to zachęcać do zepsucia obyczajów: król we wszystkim powinien dawać przykład swoim poddanym. Napiszesz mu także, że z mojego rozkazu taką mu dajesz odpowiedź.

Savary wykonał rozkazy Napoleona, i

— 282 —

lokaj króla Westfalii opuścił Paryż, ale udając się do Włoch, gdzie został z swoją żoną.

Oto się nazywa mówić po francuzku.

Nie było rodzaju zniewagi, któregooby południowcy uczuć nie dali Napoleonowi w czasie jego przejazdu na wyspę Elbę. Czterej towarzyszący mu jenerałowie zostali okryci błotem. Co się tycze jenerała Truchsess, starał on się uspokoić lud, mówiąc sposobem sobie właściwym.

— Dajcie mu pokój, przyjaciele, rzekł mówiąc o Napoleonie; wszak lepiej, że *tyran* żyć będzie dla tego jedynie, żeby był ukarany skruczą i wyrzutami? Cierpieć on będzie tysiąc śmierci zamiast jednej.

— 283 —

Lud poklasnął tym słowom.

Napoleon, który ani na chwilę nie stracił swojej zwykłej spokojności, i który widział i słyszał wszystko, nie uważał inaczej mowy jenerała pruskiego jako tylko plód dobrego gustu. Rzecz więc do niego z ironicznym uśmiechem:

— Ah! panie baronie, winszuję ci: przy okazji umiesz doskonale mówić po francuzku.

\* \* \*

#### Wspomnienie wdzięczności.

W wilię bitwy pod Waterloo, kapitan piechoty armii angielskiej, nazwiskiem Elphinston, został ciężko raniony i wzięty do niewoli przez strzelców konnych starej

— 284 —

gwardyi. Ci prowadzili go do głównej kwatery, będącej w Saint-Amand; Napoleon ich spotkał.

— Kto jest ten oficer? zapytał.

— To Anglik, najjaśniejszy panie.

Napoleon zbliżył się do eskorty, ulitował się nad jeńcem, który zdawał się być bardzo osłabionym przez utratę krwi.

— Niech go natychmiast zaprowadzą do ambulansu gwardyi, powiedział Napoleon. Potem zwracając się do jednego z lekarzy swojego sztabu: Udaj się pan za tym oficerem i czuwaj, żeby jego rany jak najtroskliwiej były opatrzone; przyjdiesz natychmiast zdać mi sprawę.

W kilka chwil potem, posłał ranionemu wina w srebrnym kubku. Kapitan Elphinston należał do jednej z pierwszych rodzin angielskich: lord Keith był jego

— 285 —

wujem; jeden z jego braci zajmował ważną posadę w Indyach.

Rodzina Elphinston, dowiedziawszy się o szlachetnym postępowaniu z kapitanem, przejęta była wdzięcznością. Dla tego też kiedy przy końcu lipca 1815 roku, *Bellérophon* przybył do brzegów angielskich, mając na swoim pokładzie cesarza-jeńca, lord Keith, kazał mu wyrazić swoje podziękowanie i ofiarować usługi. Co się tycze sir Elphinstona, brata kapitana, skoro się dowiedział, że jedyną rozrywką cesarza były szachy, kazał zrobić chińskim robotnikom przepyszną szachownicę całą ze słoniowej kości, ozdobnie wyślaczaną. Szachownica ta przybyła wprost z Cantonu na wyspę Świętej Heleny w początku miesiąca sierpnia roku następnego.

Hudson-Lowe otrzymawszy te podarki, z listem do niego adresowanym był w wielkim

— 286 —

kłopotcie. Podług ścisłych przepisów, trzeba było, żeby wszystko, przysyłane więźniowi, pierwaj przedstawianem było ministerstwu angielskiemu. Jednak, ponieważ miał rodzaj władzy dyskrecyjnej, tym razem tylko, postanowił oddać te przedmioty; napisał do hrabi Bertrand, w Longwood, że daje je do jego rozporządzenia; ale otworzywszy pudełko, z wielkiem podziwieniem, spostrzegł głoskę N z cesarską koroną wyrżniętą na każdej sztuce.

To przystosowanie do władzy zgasłej na zawsze, to uznanie prawa; którego rząd brytański tak uporcezywie znieść nie chciał, zdawało mu się uchybieniem. Postanowił więc, że pochlebny prezent nie będzie posłany Napoleonowi, chyba, że ten ostatni zezwoli, żeby N z koroną zostały zatarte; i kiedy Gentillini, służący cesarza,

— 287 —

przyszedł do Plantation-House, żeby zabrać szachownicę, gubernator oddał ma tylko list do hrabi Bertrand, w którym między innymi było:

»Ponieważ przyrzekłem posłać do Longwood prezent przybyły z Cantonu, zezwalam wysłać go jutro, ale pod pewnymi warunkami, których załączyć nieomieszkam. Pragnę jednak, aby jenerał Bonaparte wiedział, że w tym razie przestąpiłem moje przepisy, żeby coś uczynić, co może sprawić mu przyjemność. Nadto, dodawał przy końcu, pojutrze sam przybędę wyjaśnić jenerałowi przyczyny mojego postępowania.»

Napoleon dowiedziawszy się o tym liście, datowanym dnia 14 sierpnia 1816 r., wzruszył ramionami, i powiedział do wielkiego marszałka, w przytomności pp. de Montholon i Las Cases:

— 288 —

— Czyli to przysłanie szachownicy jest sprawą stanu? Czy ten człowiek obawia się, żebym nie dał szach wszystkim królom Europy? Albo, czy dla tego że moja cyfra jest wyrżnięta na tych figurkach, obawia się, żeby go nie oskarżono o ogłoszenie nowego 20 marca na moją korzyść?.. Biedak!... Upiera się, żeby mi nie przyznać tytułu cesarza; wydiera mi ten tytuł, jak gdyby on nie był wiecznym!... A potem, za kilka lat on i *inni* (\*) będą zagrzebani w prochu zapomnienia, a jeżeli ich wspomną, to dla tego tylko, żeby mówić o niegodziwościach jakie mi sprawili; a tymczasem moje imię będzie ozdobą w historii, gwiazdą, która prowadzić powinna ludy cywilizowane. Niech przyjdzie

---

(\*) Tak zwykle Napoleon nazywał Anglików, albo rodzinę Burbonów, kiedy o nich mówił.

— 289 —

zwierzyć mi się z swoich skrupułów, ten pan Hudson Lowe! ja także powiem mu wszystko co mam na sercu.

I cesarz mówiąc w ten sposób, zwolna zapalał się, tak, że przy końcu, wbrew zwyczajowi, miał twarz bardzo zarumienioną; wielki marszałek nie śmiało zwrócił na to jego uwagę:

— Ah! odrzekł cesarz, za chwilę myśleć o tem nie będę. Przejdźmy się po ogrodzie, to mię uspokoi.

W czasie tej krótkiej przechadzki, sprzączka od jego trzewika odwiązała się. Obecni pośpieszyli, żeby ją zapiąć. Pan de Montholon był najprędszym i umieścił ją gdzie należało. Napoleon chętnie zezwolił na tę małą przysługę; poczem wziął rękę p. de Montholon, klęczącego na jednym kolanie, i pomagając mu powstać, powiedział z dobrocią:

— 290 —

— Dziękuję ci, drogi jenerale; dodał do obecnych, byliście świadkami przysługi jaką mi okazał Montholon. W Tuilleries przyjąłbym ją tylko od służących; ale tu nie mam ich, mam tylko przyjaciół, i bez wątpienia, nie straciłem na zamianie.

W tej chwili, odzwierny Santini uwiadomił wielkiego marszałka, że oficer 53 pułku przybył z Plantation-House, z poselstwem od gubernatora.

— Ah! to zapewne prezent sir Elphinston'a! rzekł Napoleon przyspieszając kroku. W istocie był to kapitan Pappleton; za nim szedł żołnierz jego pułku, niosący skrzynkę. Otworzono ją w przytomności cesarza w sali billardowej, dokąd wprowadzono kapitana. Skrzynka, równie jak zawarte w niej przedmioty wzbudziły okrzyk uwielbienia obecnych; jednak Napoleon bardziej

— 291 —

cieszył się uczuciem, powodującym sir Elphinstonem, aniżeli wartością podarku. Wszystkie figury szachownicy, zamiast być podobnymi do naszych, były grubemi i ciężkimi obrazami przedmiotów, których nazwę nosiły: i tak koń był w całym swoim rynsztunku, a wieża spoczywała na ogromnym słoniu. Napoleon uwielbiał wykończenie roboty, ale rzekł żartując:

— Potrzeba mi będzie maszyny do poruszania tej wieży; poszłę szachy mojemu synowi.

Kapitan uwiadomił cesarza, że zamiarem gubernatora było dnia następnego przybyć do Longwood.

— Przyjmę go, zimno odpowiedział Napoleon. Panie Pappleton, dodał po chwili milczenia, wszak pan jesteś najstarszym kapitanem 53 pułku?

— Tak. najjaśniejszy panie.

— 292 —

— Szacuję bardzo oficerów i żołnierzy tego pułku. Są to dzielni ludzie, którzy dobrze znają swoje obowiązki. Rozeszła się wieść, jak mi powiedziano, jakoby nie chciał przyjmować pp. oficerów; czy pan będziesz tak łaskaw powiedzieć im, że ci, którzy tę wieść roznieśli, skłamali?

— Najjaśniejszy panie, zdaje mi się, że ta wiadomość jest niedokładną. Znam opinię, jaką moi towarzysze zawsze wyrażali o W. C. Mości, i mogę ją zapewnić, że mają dla niej najgłębszy szacunek i największe uszanowanie.

Cesarz uśmiechnął się.

— A więc, powiedz im pan, że nie jestem starą kobietą, i nie zajmuję się szczebiotaniem; kocham i szanuję walecznych, których ochrzczono na polu bitwy. mniejsza do jakiego należą narodu.

Nazajutrz Hudson Lowe, w towarzystwie

— 293 —

majora Gorrequier, przybył do Longwood, kiedy Napoleon przechadzał się po ogrodzie z p. de Las Cases i jego synem. Gubernator żądał widzenia się z cesarzem, na co ten zezwolił, mówiąc:

— Ah! ah! otóż on!... on także swoim sposobem przybywa wieszować mi imienin; ja to mu dam bukiet.

Przyjął gubernatora z grzecznością, która miała w sobie coś smutnego: był cokolwiek bladejszy niż zwykle.

— To pan, rzekł do niego sucho; cóż pan rozkażesz?

— Pozwól mi jenerale, odpowiedział mu gubernator, najprzód podziękować ci za dobroć, żeś mię raczył przyjąć u siebie o tej godzinie...

— Proszę pana, bez pochlebstw, bez kłamliwej między nami grzeczności, bo to byłoby podobnem do śmiesznego

— 294 —

postępowania oficerów francuzkich i angielskich w bitwie pod Fontenoy, którzy zamiast posłać sobie kule, wzajemnie się ukłonili, mówiąc: *Zaczynajcie panowie*.

My bądźmy otwarci i prosto udajmy się do celu. Mówiąc te wyrazy, dał znak wielkiemu marszałkowi i panu Las Cases, żeby mu nie towarzyszyli i wszedł do sali jadalnej. Tam miał z gubernatorem bardzo żywą rozmowę. Przywiedziony do ostateczności niegodziwym obchodzeniem się, dobrowolnie wyrządzanemi przykrościami i nedorzecznyimi potwarzami, cesarz ciągle z nich się usprawiedliwiał, i nie oszczędzając nic, skończył temi słowy:

— Panie, najniegodziwszym postępkim ministrów angielskich nie jest już to, że mnie tu przysłali, ale że mię z związanemi rękami panu, oddali. Skarżyłem się

— 295 —

na admirała pańskiego poprzednika; złem uczynił, bo on miał przynajmniej serce, ale pan go nie masz. Czynisz wszystko, żeby zhańbić twój naród... Pamiętaj, dodał wyciągając rękę i grożąc mu palcem, twoje imię będzie wieczną plamą... Skarżyłem się, że mi przysłano dozorcę więziennego; znów źle uczyniłem, ponieważ jesteś katem... To miałem panu powiedzieć; teraz proszę, żebyś mię zostawił w spokojności.

I odwróciwszy się nagle od gubernatora, wszedł do sypialni silnie zatrzasknąwszy za sobą drzwiami.

Hudson Lowe oddalił się w wielkim gniewie; powiedział tylko majorowi Gorrequier, który czekał go w małym salonie, że jenerał Bonaparte nie był gentlemanem.

Napoleon nie wyszedł przez cały dzień; nic przyjmował nikogo, jadł sam.

— 296 —

Wieczorem, kiedy Marchand pomagał mu rozebrać się, rzekł do niego tonem wzruszonym:

— Mówiłeś mi kiedyś, że lubisz badać ludzi. Gdybyś był słyszał, co mi powiedział gubernator dziś rano, byłbyś się przekonał dokąd może być posuniętą cierpliwość ludzka, i ile pocieszenia serce znieść może. Jednak jedna rzecz mię pociesza: ta, że kiedyś jego współrodacy muszą oddać mi sprawiedliwość. Już nawet mi ją oddają... patrz na ten stół.

Marchand zbliżył się do stolika, na którym Napoleon kazał postawić szachownicę, przyniesioną dnia poprzedniego przez kapitana Pappleton i spostrzegł te wyrazy wysadzone słoniową kością:

*Wielkiemu więźniowi Świętej Heleny  
Wdzięczna rodzina Elphinston.*

\* \* \*

— 297 —

W czasie bardzo smutnego obiadu, który Napoleon jadł na wyspie S. Heleny, w gronie kilku szlacheckich towarzyszków wygnania i wielkiego marszałka, ten ostatni uczynił uwagę, że ten dzień był wilią 15 sierpnia.

— W istocie, odpowiedział Napoleon, nie myślałem o tem. Jutro wiele kielichów wzniesionych będzie na cześć S. Heleny i cokolwiek mój brat król Jerzy IV i inni uczynią, nie potrafią jednak przeszkodzić żeby kilka życzeń nie przebyło Oceanu.

Po obiedzie, upał był nieznośny; Napoleon, będąc utrudzonym, nie wyszedł wcale; usiadł na kanapie w bibliotece, i rozmawiał o księdzu Pradt, który był

— 298 —

zwykłym przedmiotem rozmowy przy obiedzie.

— Napisał o mnie, rzekł Napoleon gorzko się uśmiechając, że nie dosyć żem sobie utworzył Francję imaginacyjną, Hiszpanią imaginacyjną, ale że chciałem sobie utworzyć jeszcze i *Świętą Helenę imaginacyjną*. Co panowie o tem myślicie?

Ponieważ każdy milczał, Napoleon znów zaczął po krótkim namyśle, oparłszy głowę na rękach, i głosem mającym w sobie coś proroczego:

— Oni mię tu zabiją, to pewna; tylko umarli nie powracają!

Przyniesiono poncz; Napoleon wziął szklankę z tacy, mówiąc

— No panowie, uczynicie tak jak ja... A pan, rzekł do p. de Las Cases, czy nie pijesz?

Wielki marszałek wesoło zwrócił uwagę

— 299 —

cesarza, że nie może pić ponczu z tego powodu, że nie ma szklanki; przez pomyłkę przyniesiono tylko trzy.

— O! będziesz pił!

I podając mu swoją szklankę, umoczywszy wprzód usta, dodał:

— To po angielsku, wszak prawda, mój drogi? We Francji pija się tylko po swojej kochance; ale na wyspie Świętej Heleny można pić po przyjacielu.

Była godzina dziesiąta, cesarz oświadczył chęć oddalenia się i rzekł z miłym uśmiechem:

— Więć do jutra panowie: przepędzimy dzień w gronie rodzinnem. Uwiadomcie panowie o tem damy, i zaproszcie je w moim imieniu, nie zapominajcie także o małym Emanuelu i *panu Tristanie*, jeżeli przyrzeknie być grzecznym.

Goście na wyspie Świętej Heleny mieli

— 300 —

zamiar udać się nazajutrz do cesarza o godzinie dziesiątej rano, żeby mu powinszować imienin: ale ten ostatni, bądź że był uwiadomiony o ich zamiarze, bądź że odgadł go. zupełnie popsuł im szyki. Sam poszedł przed ósmą zapukać do wszystkich drzwi, mówiąc do każdego z nich:

— No. panowie leniuchy! wstańcież! Czy nie wiecie, że mamy razem jeść śniadanie.

Czas był bardzo łagodny; o dziesiątej wszyscy zgromadzili się w ogrodzie; był tam wielki marszałek, jego żona i syn starszy, pan i pani de Montholon, z małym Tristanem, jednym z ich dzieci, mającym najwięcej lat sześć lub siedm. Jenerał Gourgard, p. de Las Cases i młody Emanuel, jego syn, przybyli ostatni. Śniadanie było zastawione w namiocie, który cesarz rozbić kazał w końcu ogrodu. Otoczony

— 301 —

swojami *wiernymi*, cisnącemi się koło niego, żeby mu złożyć swoje życzenia, podziękował im z wylaniem.

— Teraz, powiedział, dajmy pokój komplementom a pójdźmy do stołu.

I podawszy damom ręce posadził je przy sobie.

To śniadanie nie było tak wesołem. Jak się spodziewano: biesiadnicy byli przejęci zbyt różnemi uczuciami; nie było zatem długie. Zaledwie je skończono, mały Tristan, który bardzo lubił biegać, zerwał się z krzesła i chciał pobiedz bawić się za namiotem: ale cesarz wziął go za rękę i posadziwszy go na kolanach, rzekł do niego głosem pieszczotliwym:

— To za wcześnie, p. Tristan; nie opuszcza się takim sposobem ludzi. Zapytaj ojca: on ci powie, że to niegrzecznie.

Biedne dziecię wstydząc się spuściło

— 302 —

oczy i nic nie odpowiedziało. Wtenczas Napoleon wziął je w pól i wstrząsając nim cokolwiek, powiedział tonem rodzicielskim:

— Nie mówię tego, żebym miał łącać cię; to tylko przestroga, którą ci daję. Teraz płaczesz!... No. uspokój się i dowiedz tem twemu dobremu przyjacielowi, że się na niego nie gniewasz, powtórz mu którą z tych pięknych bajeczek, co to mama nauczyła cię na pamięć. Obetrzyj oczy i nie myl się.

Mały Tristan podniósł na niego swoje długie rzęsy wilgotne jeszcze, i zapytał pieszczotliwie:

— Najjaśniejszy panie, którą bajkę mam powiedzieć.

— Którą zechcesz; najkrótszą, bo taką zapewne najlepiej lubisz.

— 303 —

— Jedną tylko umiem całą: *Wilk i jagnię*, i połowę innej.

— Nie trudno ci będzie wybrać: powiedz *Wilk i jagnię*.

Malec zaczął mówić bajkę jak mógł. Nie było nic zabawniejszego jak widzieć i słyszeć wymawiane przez niego: Najjaśniejszy panie.... Wasza Cesarska Mość, już to mówiąc o wilku, już zwracając mowę do cesarza, mieszając oba w mowie i bez wątpienia w głowce swojej. Napoleon śmiał się z całego serca, ganiąc, że bajki Lafontaine'a dano w ręce dzieciom, które mówił, nie mogły pojąć ani ich prostoty ani logiki.

Skoro Tristan skończył, uściskał go czule, potem starał się wytłómaczyć mu tę bajkę, w której, jak mówił, za wiele było ironii; ale wykazał mu jej sens moralny.

— A potem, mówił kończąc, ta bajka

— 304 —

złą jest co do swoich zasad, ponieważ sens moralny jest niedorzeczny. Nie prawdę, że mocniejszy ma zawsze słuszość. To jest błąd, który bajkopisarz powinien był potępić, a nie uczynił tego; przeciwnie zdaje się uświęcać go jeszcze. Ja, na jego miejscu, powiedziałbym, że wilk odławił się pożerając jagnię, wtenczas dzieci lepiejby pojęły sens moralny, ponieważ byłby słuszny; tem bardziej, dodał zwracając mowę do malca, który go słuchał z wielką ciekawością, że są wilki, które zjadają leniwych chłopców.

Na te słowa Tristan, który był leniwy jak większa część rozpieszczonych dzieci, otworzył oczy, i przyznał się cesarzowi, że nie codzień się uczył, ale na przyszłość będzie więcej pracował.

— I dobrze uczynisz, rzekł Napoleon: wszak jesz codzień?

— 305 —

— Tak, najjaśniejszy panie, ale nie co dzień konfitury.

— Konfitury! zawsze konfitury, powtórzył cesarz z uśmiechem, zawsze je masz w głowie! Zdaje mi się; że to jest warunek *sine qua non*. Otóż to jest wpływ żołądeczka! dodał z lekka uderzając po brzuchu małego Tristana; łakomstwo wprawia w ruch ludzi. No, mój mały przyjacielu, rzekł stawiając go na ziemi, teraz kiedyś się nagadał idź bawić.

Potem klasnął w ręce jakby mu chciał dać znak swobody. Malec nie dał sobie tego powtórzyć dwa razy; wybiegł natychmiast, Napoleon patrzył na niego jak biegał i mówił z rozczuleniem:

— Mój syn jest prawie w tym wieku.

Potem poniósłszy ręce do oczu, prosił towarzystwo, żeby się przejść po ogrodzie. Kiedy miał wracać, postrzegł koło

— 306 —

domu dół, w którym zwolna utworzyła się kałuża, tak głęboka, że przed kilku dniami jagnię się w niej utopiło. Na ten widok Napoleon jeszcze wzruszony wspomnieniem syna, żywo zwrócił się do wielkiego marszałka, i rzekł do niego cokolwiek z niechęci:

— Czemu nie kazałeś pan zasypać tego dołu. Jakżebyś się pan zmartwił, gdyby które dziecko bawiąc się, wpadło w tę kałużę i utopilo się jak to biedne zwierzę przed kilku dniami.

— Najjaśniejszy panie, odpowiedział marszałek, kilka razy miałem ten zamiar; ale do tego czasu nie mogłem nakłonić gubernatora, żeby mi przysłał robotnika.

— Gubernator! gubernator! znów zaczął Napoleon żywiej jeszcze; to nie jest usprawiedliwione. Ten człowiek nie ma serca? .... Gdyby mój syn był tutaj, już

— 307 —

dawno w braku rzemieślnika i narzędzi sam zasypałbym tę kałużę.

Ale Napoleon, zwolna odzyskawszy zwykłą spokojność, zaproponował zabawę w karty; wszyscy weszli do domu. Hrabia Bertrand proponował wtedy grę w ekarte, ponieważ wszyscy do niej należeć mogli; ale cesarz, który nie lubił tej gry: „ponieważ, mówił, grywano w nią tylko w przedpokojach, wołał *dwadzieścia jeden*. Santini przygotował stół wistowy, wszyscy usiedli do koła.

Cesarz zwykle wstawał przegrawszy dziesięć napoleonów, i to zdarzało mu się prawie zawsze, ponieważ miał zwyczaj zostawiać

swój pieniądz na stole, aż dopóty, dopóki nie przyniósł mu znacznej summy. W tym dniu doszło do sześciudziesięciu napoleonów. Wielki marszałek trzymał bank, Napoleon, chciał widzieć do jakiej

— 308 —

summy dojdzie jego wygrana: ale hrabia Bertrand, śmiejąc się, zwrócił jego uwagę, że jeżeli raz jeszcze wygra, nie tylko zabije bank, ale go nawet skłoni do bankructwa, cesarz cofnął pieniądz, mówiąc:

— Nie chcę niczyjej zguby.

I stawał tylko dziesięć napoleonów na raz, co było szczęściem dla bankiera: bo gdyby cesarz grał jak zwykle, byłby wygrał szesnaście razy z kolei coby uczyniło trzydzieści dwa tysiące siedemset sześćdziesiąt ośm sztuk dwudziesto-frankowych, czyli sześć kroć sto pięćdziesiąt pięć tysięcy trzysta sześćdziesiąt franków; była to summa ogromna, jakiej nikt na wyspie nie posiadał. Ponieważ każdy podziwiał te nic nieznaczące łaski fortuny:

— Pozwólcież przecie, rzekł Napoleon dobrodusznie, wszak dziś rocznica moich

— 309 —

urodzin? Niechże przynajmniej przez jeden dzień mam szczęście w tym roku.

Rozdzieliwszy będące przed nim złoto, między panów Montholon i Gourgand, z których każdy był przegrany, wstał, ukłonił się bardzo mile, i wszedł do sypialni, mówiąc:

— No, dosyć na dzisiaj, życzę wam dobrej nocy.

Każdy smutnie wrócił do swego smutniejszego jeszcze mieszkania.

\* \* \*

Henryka.

Ile razy czas pozwolił na wyspie Stej Heleny, Napoleon odbywał przejażdżki konno lub w powozie: a ponieważ bardzo

— 310 —

prędko przebywał szczupłą przestrzeń, która mu dozwoloną była, lubił przeto zwiedzać ją szczegółowo. Dla tego on, odbywszy zwykle dyktowanie, (ponieważ jednym z najulubieńszych zatrudnień Napoleona było pisanie swoich pamiętników) kilka godzin przepędzał na czytaniu lub uczeniu się języka angielskiego, ubierał się od trzeciej do czwartej, i udawał się na przechadzkę w towarzystwie jenerała Bertrand, pana Las Cases i jenerała Gourgand. Te wycieczki zwykle skierowane były ku sąsiedniej dolinie; powracając, najczęściej wstępowano do jenerała Bertrand; albo zaczynało od niego i spuszczano się na dolinę. Zwiedzano tym sposobem sąsiedztwo złożone z małej liczby domostw: wszystkie były bardzo ubogie. Drogi były czasem niepodobne do przebycia; ale mi gorsze były te drogi, im więcej było

— 311 —

trudności do zwalczania, tem bardziej Napoleon lubił te wycieczki; było to dla niego obrazem wolności. Jedna tylko była rzecz do której nie mógł się przyzwyczaić: było to spotkanie angielskich sztyldwachów, rozstawionych w pewnych przedziałach, żeby mieli na niego baczenie. W tych zwykłych wycieczkach wyciecznikiem był środek doliny.

Pewnego dnia, kiedy przebył kilka dzikich skał, odkrył ubogi dom, otworzył jego drzwi: wszedł do ogródka ubarwionego geraniami, które podlewała młoda dziewczyna. Ta dziewczyna była brunetka, a tak świeża jak jej kwiaty; oczy miała błękitne z wyrazem dobroci tak miłym, że Napoleon został niemi uderzony.

— Jak się nazywasz? zapytał ją.

— Henryka, odpowiedziała.

— Ale jakież nazwisko twojej rodziny?

— 312 —

— Bron.

— Zdaje się, że bardzo lubisz kwiaty.

— To jedyny mój sposób utrzymania.

— Jak to ?

— Godzien Zanoszę do miasta te geranie, i żyję za trzy lub cztery pensy, uzbierane za moje bukiety.

— Cóż robią twoi rodzice.

— Niestety! już ich nie mam, odpowiedziała młoda dziewczyna z głębokim wzruszeniem.

— I nie masz żadnego krewnego?

— Żadnego; jestem zupełnie obcą na tej wyspie. Jest temu trzy lata, mój ojciec, dawny podoficer armii angielskiej, i moja matka wyjechali z Londynu i mnie wzięli z sobą, żeby, jak mówili, połączyć się z krewnymi, mieszkającymi w Indyach, którzy mieli im dopomóc zrobić majątek. Nie byliśmy bogaci, moi rodzice doznali

— 313 —

największych w świecie przykrości, żeby zebrać summę potrzebną na odbycie tej podróży. Ale niestety! nie mieli ujrzeć jej końca: mój ojciec umarł w czasie podróży, a kiedy nasz okręt przybił do tej wyspy, moja biedna matka była tak cierpiąca, że ją tu zostawiono. Przez długi czas była słabą: nie mieliśmy już z czego utrzymać się: wtenczas to chcąc cokolwiek ulżyć naszej nędzy pomyślałam, żeby przedawać kwiaty. Jeden kupiec z miasta, który jak pan, wypytywał się o nasze położenie, ulitował się nad nami; dał nam tę chatkę, w której moja matka przyszła cokolwiek do siebie, i żyliśmy tu przez dwa lata z dochodu, jaki przynosił ten ogródek. Przed rokiem, matka powtórnie zapadła w chorobę, otrzymała od Boga kres swoich cierpień. Zaleciła mi, żebym miała odwagę, i jak pan widzisz, jestem jej posłuszną.

— 314 —

Młoda dziewczyna opowiadając, tonęła we łzach. W czasie tego krótkiego opowiadania, twarz Napoleona okazywała żywe wzruszenie. Wyrazy bez znaczenia wyszły z jego ust, potem rzekł wyraźniej:

— Biedne dziecię! cóżeś zawiniła Bogu, że cię tu tak nędznie wyrzucił? Dziwne zrządzenie losu! jak ja, i ona niema ojczyzny, rodziny... Ona nic ma już matki... a ja nie mam już syna.

I kiedy mówił te wyrazy, westchnienie tem przykrzejsze, że oddawna było tłumionem, wyrwało się z piersi cesarza; zakrył twarz rękami, i rześiste łzy potoczyły się po jego licach. Tak, człowiek, którego utrata najpiękniejszego tronu w świecie znalazła stałym i spokojnym, zapłakał na wspomnienie swojego dziecka. Ale wkrótce odzyskując całą siłę, powiedział do młodej dziewczyny:

— 315 —

— Chcę mieć pamiątkę moich odwiedzin; zerwij mi najpiękniejszych kwiatów i zrób wielki bukiet.

Henryka natychmiast wzięła się do roboty, a kiedy Napoleon dał jej pięć sztuk złota, zawołała:

— Ah! wielki Boże! dla czegoś pan wcześniej nie przyszedł, mojej matce nie zbywałoby na niczem, i nie byłaby umarła!

— Dobrze! dobrze! moje dziecię, to są piękne uczucia; przyjdę odwiedzić cię.

Wtenczas oglądając pięć sztuk złota, Henryka powiedziała, rumieniąc się:

— Ależ panie, nigdy nie będę wam mogła dać kwiatów za tak wielką summę.

— Bądź o to spokojna. Odpowiedział Napoleon z uśmiechem; przyjdę ja tu po nie.

I opuścił ją. Dogoniwszy towarzyszków przechadzki, opowiedział im swoje

— 316 —

odkrycie. Zdawało się, że był szczęśliwy znalazłszy nieszczęśliwą, którą pocieszać należało; i od tej chwili, młoda Henryka zwiększyła nomenklaturę Longwood: nazwano ją *Nimfą Świętej Heleny*. Ponieważ Napoleon, w zażyłości lubił przezywać, wszystko co go otaczało: i tak, dolina, do której zwykle kierował swoje wycieczki nazywała się *Doliną milczenia*. P. de Malcolm, u którego mieszkał w Briars, przybywszy na wyspę Świętej Heleny, był *Amfitryonem*. Major jego sąsiad, sześć stóp wysoki, nazywał się *Olbrzymem*. Sir Jerzy Cockborn, odznaczał się mianem *Jego admirałskiej mości*, kiedy cesarz był w dobrym humorze; ale kiedy na niego miał o co żalić się, wtedy admirał był rekinem.

W kilka dni po tych odwiedzinach Napoleon powiedział, ubierając się, że chciał

— 317 —

widzieć swoją *pupillę* i przedstawić ją swoim *wiernym*. Dziewczyna była w domu: w czasie nieobecności dowiedziała się o nazwisku swojego dobroczyńcy; i biedna żywo wzruszona, nie jego przeszłą wielkością, ale obecną niedolą, jak mogła czyniła honory swojej ubogiej chaty dostojnemu gościowi, a niedostatek wynagrodziła wdziękiem i szczerością; podała figi, kwiaty swego ogrodu i wodę ze strumienia, biorącego źródło w jej ogrodzie.

— Najjaśniejszy panie, rzekła do Napoleona, widzisz, zem cię czekała. Na nie szczęście nie byłam dosyć wcześniej uwiadomiona o odwiedzinach W. C. Mości; gdyby nie to, byłabym godniej przyjęła, dzięki skarbowi, który mi W. C. Mość dać raczyła.

— I byłbym cię o to wylał,

— 318 —

odpowiedział cesarz. Kiedy przyjdę odwiedzić cię, chcę tylko od ciebie wody; a masz doskonałą. Pod tym tylko warunkiem znów mię obaczysz. W końcu, jestem tylko starym żołnierzem, jakim był twój ojciec, a żołnierz nie zawsze ma figi i wodę, wiem o tem cokolwiek.

Od tego dnia, Napoleon, ile razy przechadzał się w tej okolicy, zawsze zatrzymywał się przed domem Henryki; ta wychodziła przed drzwi dawała mu piękny bukiet, szklankę źródlanej wody i zadawszy jej kilka pytań, przyjmował jej kwiaty i udawał się w dalszą drogę, wychwalając tym, którzy mu towarzyszyli, dowcip i wychowanie młodej Angielki.

Roku następnego, Napoleon, zaczął czuć pierwsze napady słabości, której później miał uledek. Henryka, nie widując swojego dobroczyńcy, codzień przychodziła

— 319 —

do Longwood dowiadywać się o jego zdrowiu; i oddawszy bukiet w ręce którego ze służących, smutnie oddalała się. Jednego dnia przecie, siedząc w ogródku, usłyszała turkot powozu. Wyszła przed drogę i ujrzała Napoleona. Przybrał twarz smutną skoro tylko na niego spojrziała.

— Jestem bardzo zmieniony, wszak prawda moje dziecię? rzekł do niej bardzo łagodnie.

— Tak. najjaśniejszy panie to prawda; ale teraz W. C. Mość przyjdzie zupełnie do siebie.

— Wątpię, odrzekł cesarz, wstrząsając głową. Jednak widzisz, że dziś chciał cię odwiedzić.

W istocie, wysiadł z powozu; i oparty na ramieniu wielkiego marszałka, wszedł do chaty. Skoro usiadł:

— 320 —

— Droga Henryko. powiedział, daj mi wody źródlanej, to może ugasi pożerający mię ogień... tu... i poniósł ręce do piersi. Młoda dziewczyna spiesznie wypełniła jego życzenia. Skoro Napoleon wypił, jego twarz rozjaśniła się.

— Dziękuję, dziękuję ci, moje drogie dziecię, rzekł do niej z dobrocią, ta woda uśmierzyła cokolwiek moje cierpienia. Gdybym ją był wcześniej używał, może.... dodał, wznosząc oczy do nieba; ale teraz już za późno.

— Ah! mówiła Henryka, usiłując przybrać twarz wesołą, jakże jestem szczęśliwa, że ta woda wydaje się dobrą W. C. Mości! zaniósł ją codzień W. C. Mości: ona was wyleczy.

— Nie, moje drogie dziecię, to byłoby napróżno, nie chcę zwodzić się; ostatnie

— 321 —

to odwiedziny, czuję to. Jest tu *un dolore sordo*, który mię zabija (i cesarz wskazał swój bok): ale ponieważ cię już nie zobaczę, chcę ci zostawić pamiątkę po sobie. Cóż ci mogę dać?

Usłyszawszy te wyrazy, młoda dziewczyna już się wstrzymać nie mogła, i tonąc we łzach, upadła do nóg cesarza, mówiąc:

— Błogosławieństwo, najjaśniejszy panie.

Napoleon powstał, i błogosławił Henryce z tą powagą, jaką nadaje wiara, ponieważ on wierzył tak, jak każdy uczciwy człowiek wierzyć powinien: umarł też jako chrześcjanin i żył z uszanowaniem dla matki.

Od tego dnia Henryka święcie chodziła do Longwood. Zawsze nosiła bukiet i wodę ze źródła, ale codzień wracała

— 322 —

smutniejsza: ponieważ codzień smutniejsze miała wiadomości o zdrowiu cesarza.

W początku maja 1821 r. kiedy słońce było świetniejsze niż zwykle i kiedy Henryka weselej udawała się do Longwood, postępowała z tą dziecięcą nadzieją, jaką jej dawało tajemne zaufanie w wodę źródła. Dnia poprzedniego powiedziano jej, że cesarz miał się lepiej, a jej wdzięczna wyobraźnia natychmiast utworzyła sobie cud, a tym cudem było wyleczenie Napoleona.

Przybywa... ale, niestety! jakżeż jej marzenia były dalekiemi od prawdy. Tym razem, obawiając się o życie swego dobroczyńcy,

i chcąc go przynajmniej raz jeszcze widzieć i pożegnać ostatecznie, prosi, żeby jej pozwolono wniknąć do niego. Odpowiadają jej, że to jest niepodobieństwem, gdyż cesarz jest bardzo słaby. Błaga,

— 323 —

zaklina, napróżno: ale jej łzy są tak przenikające, że ją nakoniec wprowadzają do komnaty cesarza.

Była to chwila uroczysta, w której Napoleon, na łożu boleści, otoczony swojemi wiernymi, po długim omdleniu, usiadł na łożu i kazał postawić przed swojemi oczami popiersie syna swojego i otworzyć okno od strony Francji; potem, tkliwe posławszy pożegnania tej drogiej ojczyźnie, wpadł w malinę, członki jego skurczyły konwulsy. oczy osłupiały, usłyszano jeszcze te wyrazy wychodzące z ust jego: *Francyo!... mój synu!...* potem już nic: Napoleon żyć przestał.

Na ten widok, na te wyrazy, kwiaty wypadły z drżących rąk młodej dziewczyny; upadła na kolana; potem usiłuje wziąć rękę Napoleona, zapewne, żeby ją przycisnąć do ust.... ale wnet jej głowa skłania

— 324 —

się, usta bledną, powieki opadają, i zwolna upada u stóp łoża, jak gdyby ulegała koniecznej chęci snu...

Henryka już się nie przebudziła.

K O N I E C.